M. KONOPNICKA

IMAGINA

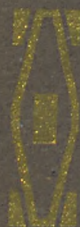
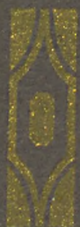
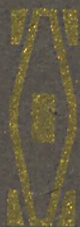
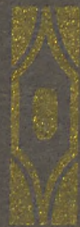
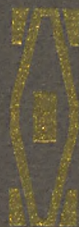


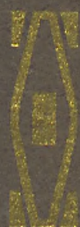
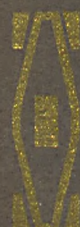
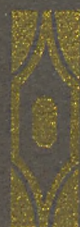


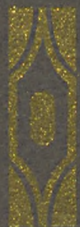













MARYA KONOPNICKA

IMAGINA

Z PRZEDMOWĄ

A. GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO

Z WIZERUNKIEM AUTORKI
Z DOBY POWSTANIA »IMAGINY«



1912

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.





DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

Mam przedmową zaopatrzyć jedno z arcydzieł polszczyzny. Czar języka i wersyfikacyi, jaki Konopnicka roztacza w I m a g i n i e, *odsuwa na bok wszelkie inne spostrzeżenia, nieodpornie kierując pióro krytyka w rytm zachwytu nad blaskiem słowa. Magiczne samowładztwo języka i rymu zda się czasem zagrażać w tym poemacie wewnętrznej treści utworu. Lśniąca strofa staje się częstokroć podobną letnim godzinom dnia południowego, kiedy przesycone słońcem powietrze aż zaciera kontury materyalne. I niechybnie byłaby ta okoliczność groźbą dla książki, gdyby* I m a g i n a *należała do książek, raz tylko czytanych. Nie wiem ilu będzie* I m a g i n a *miała czytelników, ale jestem pewny, że będzie miała czytelników wiernych. Papież Innocenty XI mówił, że wyjeżdżającemu z Rzymu nie mówi*

się: »żegnaj« — lecz jedynie: »do widzenia«, albowiem na to się ogląda piękno, by je chcieć widzieć powtórnie. — I m a g i n a dość często występuje przeciw Rzymowi, to ma z nim jednak wspólne, że stylistyczna, językowa jej forma niesie z sobą jakieś podstawowe, powszechnie zniewalające piękno i ostatnia jej karta nigdy nie powie: »żegnaj«.

Przez całe dzieje, jak doba ich długa,
Dziwnie byliśmy w błękity rzuceni,
Porwani skrzydły husarzów od pługa
I u gotyckich wieżyc uczepieni.
W górę nas parła żelazna kolczuga,
A rozmach konia, kopji i pierścieni
Oślep nas cisnął pod strop firmamentu,
I tak stał dziwny gmach — bez fundamentu.

»Imagina«, str. 12.

Na całym obszarze poezyi polskiej gdzie druga oktawa, którąby mocniej, spoiściej a strzeliściej wypowiedziała się? Gdzieby w bardziej złotem jaśnieniu tak się sformułowała definicya naszego ducha, gdzieby od historyozofii do poezyi krótsza była droga? I gdzieby przez Krasińskiego już spostrzeżone owe tęcze bez granitu znalazły tyle wielkodusznego wyjaśnienia?

I m a g i n a na każdej niemal stronie druku błyszczy uniesieniem poetyckiem. Kto więc raz ujmie we wzruszenie krasę takich słów i obrazów — ten się nie wyrzeknie radości wracania do nich.

* * *

Język Konopnickiej już chyba bez dyskusyi uznany jest za wzór polszczyzny. Nie tylko słownictwo i składnia, niepokalane w swej strojnej czystości, ale i ów nieuchwytny, »podziemny« nurt języka, ta osobista twórczość w dziedzinie stylu, która kładzie najważniejszy ciężar na ważkość, trwałość słowa — wszystko w mowie Konopnickiej wypływa z najszlachetniejszych pokładów polskiego ducha językowego.

Rzecz jasna, że trzeba ze sobą na świat przynieść ten dar językowy, ową zdolność »powiedzieć wszystko, co pomyśli głowa« i powie-

dzieć w zgodzie z najrdzenniejszą naturą lingwistyczną swojego narodu. To więc, co pobieżnie nazywamy talentem stylistycznym, wymyka się z pod analizy przyczyn; jest on składową częścią organizmu, jak wzrok, słuch, głos. Nie trudno natomiast dostrzedz, jakimi sokami się syci ten dar, co wspomaga i doskonali wrodzoną fenomenalność stylu plemiennego. Soki owe nazwaćby można patryotyzmem biologicznym. Ludzie tacy, jak Konopnicka, nie tylko komórki mózgowe, ale, zda się, całą żywotność swą utkaną mają z materyi narodowej. Nie tylko ich wyniki myślenia, nie tylko nawet ich uczucia, ale każdy, rzekłbyś, odruch ich żyje strumieniem etnicznej odrębności własnego narodu. Cnoty i wady nacyonalne, jakość cywilizacyjna danego kraju, sposób myślenia, fatalizm takich a nie innych emocyi, żywotniejsza przynależność do określonego moralnego i obyczajowego dorobku — lokalizuje takich ludzi w świecie ojczyzny, osadza w glebie rodnej silniej, niż innych. Poza patryotyzmem moralnym natura obdarza ich patryotyzmem biologicznym, który odbija się w każdym ich geście tak, jak patryotyzm tamten odbija się w myśli. Narodowość ich stylu wyrasta nie tylko z ich indywidualnej duszy, ale i ze zbiorowej duszy ojczyzny. Ich mowa — to bezwiedny nakaz wieków, które sobie taką a nie inną postać języka upodobały. Na pierwotnym stopniu kultury mowny a mądry chłop jest typem takiego powinnego strażnika słowa. Na stopniu wysokim — Konopnicka staje się przykładem mówienia za ziemię ojczystą. Poetyckość, wykształcenie, europejskie horyzonty dały jej całe bogactwo, jakie artysta może mieć sobie na wysługi, — tajemnica patryotyzmu fizycznego przytrzymała ją natomiast w błogosławionem pobliżu z tem, co było polskiego na naszej ziemi jeszcze przed historyą polityczną Polski. Więc gdy dzwoni jej wiersz — to w wierszu jej słyszysz nie tylko osobiste wyznanie wielkiego jej serca, słyszysz wszystkie zdobycze i tryumfy mowy polskiej, słyszysz Kochanowskiego i Bogurodzicę, słyszysz śmig szabli

i pochwytujesz szmer ziemi, którą pług kraje w czarną brózdę.

O ciche pola! O wy senne niwy,
Nigdyż nad wami słońce nie zaświeci?
Nigdyż nie wzejdzie taki dzień szczęśliwy,
W którymby piękność waszą nie poeci,
Nie rytm mniej, więcej trafny lub fałszywy,
Ale uznały wszystkie wasze dzieci
I wrzącą piersią przylgnęły do roli,
Nigdyż? O jak mnie pytanie to boli!

Oto jest strofa, w której lepiej nie można chyba było powiedzieć, że dusza poety i dusza ziemi nie z dwóch różnych atomów wzięły swoją istność.

Jak owe drzewa, któreby nie wiem jak wyrosły wysoko w górę, muszą przecie gałęźmi spaść z powrotem na ziemię i wrość w nią, że błękit nieba i żar słońca po to tylko biorą w siebie, by je z powrotem glebie swej wrócić, — tak samo i dusze, Konopnickiej podobne, męczeńską nieraz pracą wewnętrzną zdobywają słońca i lazury, wybiegają nad morza i za morza, rozrastają się monarszo w korony i bogactwa natchnień po to jedynie, by to wszystko z powrotem zanieść macierzy swojej psychiki: — narodowoplemiennemu przymusowi myślenia i odczuwania. Temi gałęźmi zaś, które nakazem odwiecznym wracają ku kolebce istnienia, temi gałęźmi staje się przedewszystkiem ich język. Po ich mowie wyczujesz kierunek rodzinności; poznasz, gdzie ziemia.

Książka niniejsza nie tylko jednak językiem opowiada o przymusach powrotu do zaczarowanego koła ojczystości. I m a g i n a i treścią swą kreśli powinny krąg pochodu od ziemi ku wysokościom marzenia — od marzenia z powrotem, ku temu, co najbliższe w myśli polskiej. Cały początkowy układ, zakres poematu, kto wie nawet czy i nie początkowa intencya przeznaczały dzieło do utworów o treści wszechludzkiej. Walka świetlistości tęsknot z okrutną przyziemnością, walka Lucyla z Megistelejdą — to plan, zamiar, symbol wieczystego zmagania się sił duchowych, które swoją moc obowiązującą mają dla każdego człowieka i dla wszelkiej epoki, tak dziś, jak

w przeszłości i przyszłości rodu ludzkiego. Im bliżej było w dziele zakończenia, tem poniewolniej myśl zaczęła konkretyzować się na poszczególnem zagadnieniu nie ludzkości, lecz własnego społeczeństwa. Może nawet ze stratą dla alegorycznej miary, — z zagadnienia uniwersalnego wkroczył poemat w sferę narodową. Pod obrazami abstrakcyi i ogólno - ludzkiej przenośni zatętniła bliższa troska — o sprawę ojczystą. Tak z niewidzialnych wysokości i swobodnej kąpieli w promieniach słonecznych gałęzie natchnienia poczęły śpiesznie szukać drogi — ku ziemi.

A. GRZYMAŁA SIEDLECKI.

PIEŚŃ I.

Na co się przyda cała mądrość świata,
Co atramentem zalewa ci duszę,
Jeżeli, nakształt znikomego kwiata,
Serce twe, więdnąc w śmiertelnej posusze,
W piersiach się nie rwie, nie drży, nie kołata?
Jeśli spleśniałe Tacyty, Liwjusze,
Nawet ci tyle nie dadzą ochłody,
Co kropla rosy, łza lub kropla wody?

Toga i biret i cały rynsztunek
Uczonych mężów — zapewne — nie plewa;
Lecz jakże błądzi ten, kto swój rachunek
Z szczęściem przez dyplom zrównać się spodziewa!
Wszak nim druk nastał, był już — pocałunek,
A przed Nestorem jeszcze żyła — Ewa,
I nim Justynian prawa swoje spisał,
Na piersiach róży motyl się kołysał.

Kochać, wieczornej gwiazdy wzywać skrycie,
W drogich źrenicach zapalać spojrzeniem
Błękitne iskry, i żyć w tym błękicie,
Jak ptak, co śpiewa pod niebios sklepieniem,
W pieszczocie duszę oddawać i życie,
Trawić się cicho tajemnym płomieniem,
Gorącym ustom upojeń być czarą —
Warto coś więcej nad księgę tę starą!

Tak dumał Lucyl nad grubym foljantem
Łysego Greka. Świt cichy, przejrzysty,
Różowił niebo lekkim amarantem,
I złocił chmurki dotknięciem artysty;
A jako duchy pierzchały przed Dantem,
Tak przed porankiem uchodził cień mglisty,
Wlokąc za sobą srebrzyste swe szaty
I otrząsając z nich rosy na kwiaty.

Gdzieniegdzie gaj się budził, cały drżący
Od trzepotania skrzydełek i piórek,
I brylantami jasnymi sypiący
Na mchy zielone, co wbiegły na wzgórek.

Lecz mój bohater nad księgą drzemiący,
Gdy się w dumaniach pogrążył, jak nurek,
Nim pierwszy promień słoneczny go drasnął,
Opuścił głowę na ręce — i zasnął.

Poranna jasność dnia, chłodna i blada,
Ma to do siebie od czasów Makbeta,
Że na bezsenne duchy nagle spada
Dziwnem omdleniem. Ta straszna kobieta,
Dla której nocą mord niczem ni zdrada,
Student marzyciel i grzmiący poeta,
Co ludzkość klątwą rymowaną gromi,
Na widok brzasku mówią: mdło mi! mdło mi!

Lucyl poetą nie był ni zbrodniarzem,
Coby mu zresztą było synonimem,
Gdyby przed każdym nie klękał ołtarzem
I nie okadzał go słów pustych dymem,
Albo zaniedbał machnąć trybularzem
Kościelnym szczurom, spokrewnionym z Rzymem,
Kościelnej babie, co żebrze u proga,
Choćby też mirry nie stało dla Boga.

Lucyl poetą nie był. Choć któż zgadnie,
Komu zdrój żywy bije w głębi duszy?
Chyba miesięczna noc, gdy sierp swój kładnie,
Wie, kogo najpierw srebrne ostrze ruszy,
Dla kogo gwiazdy płoną w morzu na dnie,
Komu porywa serce flet pastuszy,
Kto ran swej ziemi dotyka się z trwogą,
Jak ci, co cudów chcą, a nic nie mogą.

Bo się nie łudźmy, że poeta może
Zrobić coś więcej, niż to, że nad tłumy
Rozpali jakieś płomieniste zorze,
Że nas rozwichrzy i rzuci w zadumy,
Że nam łódź z brzegu pchnie na pełne morze,
I łodzi hasło da na morskie szumy...
Lecz jeśli hasło nie ma być jałowem,
Lud-czyn niech idzie za poetą-słowem.

Mieliśmy niegdyś lutnie tak potężne,
Że nam być mogły mieczem i sztandarem,
I grać nam w boju, jak trąby mosiężne,
I pierś narodu zagrzewać tym żarem,

Co stwarza duchy wielkie i orężne.
A my z tych pieśni co zrobili? Harem,
Kędy się zmysły rozmarzeniem poją,
I pieśń nam nie jest wodzem, ani zbroją.

O, skrzydeł orlich wielkie, górne loty!
Gdzie są za wami zwrócone oblicza?
Czemu pod Illion nie śpieszą heloty?
Czemu drży duchów ciżba niewolnicza?
Gdzie są słuchacze pieśni wajdeloty
Na wygaszonych popieliskach Znicza?
Gdzie te ramiona, co wspólnym łańcuchem
Ziemię pchnąć miały i rządzić jej ruchem?

A kiedy mówię tak, nie pragnę wcale,
Aby lirniki ślepe świat wodziły,
Ale w powietrzu słyszę jakieś żale
Nad zmarnowaniem wielkiej, żywej siły,
I widzę ludy bijące, jak fale,
O brzeg bagnisty życia i pochyły,
Widzę służalcze, ciemne, nizkie dusze
I pytam: poco żyli Tyrteusze?

Ale mój Lucyl był tylko studentem.
Wzrósł dziko trochę, i trochę sieroco,
A serce jego tak było nietkniętem,
Jak świeże śniegi te, co spadły nocą.
Od mętów życia cofał się ze wstrętem,
Choć znał te ognie, co brzeg czary złocą.
Coś dziewiczego miał w jasnem spojrzeniu,
Na ustach płomień, a blaski w imieniu.

Gdyby żył w Wilnie za czasów Czeczota,
Do Promienistych liczyłby się pewno.
Bo jasność jakaś od niego szła złota,
Jakoby w piersi gwiazdę miał pokrewną
Tej, co nade mną w tej chwili migota
A jedną z Liry jest i siostrą śpiewną
Wszystkich słowików wiośnianych, z któremi —
W złoty tamburyn bijąc — śpiewa ziemi.

Lecz mu nie dano, przynajmniej w tej pieśni,
Ojczyzny dostać, nazwiska, ni rodu.
Ród i nazwisko — to stary szmat pleśni,
Ojczyzny zasię dziś niema powodu

Mieć, i czas idzie, kiedy wilcy leśni
Z jamy wyrzucą wilczęta za młodu,
By nie zwykały mienić legowiska
Gniazdem, tak gniazda idą dziś w zwaliska.

Gdy więc nie wiedzieć gdzie trafi błysk gromu,
I w którą stronę zapędzą cię świata,
Mądrze jest o tem nie mówić nikomu,
Gdzie stała niegdyś praojców twych chata.
Mądrze jest nie mieć ojczyzny ni domu,
I być, jako ten liść zeschły, co lata,
I jak on lecieć, kędy wiatr powionie,
Przez ziemię mogił, przez tułactwa błonie.

A wy się nad nim nie litujcie, proszę,
Iż go tak puszczam bez wspomnień szkaplerza.
Ja znam ten szkaplerz! Na piersiach go noszę
I wiem, jak pali, jak rany rozszerza.
Nieraz ja w łkaniu, jak wichr, się unoszę
I znak krwawego chcę zerwać przymierza,
Co niezgojoną wypalił mi bliznę,
Iż dom wspomina stary i ojczyznę.

Lecz wrósł już w serce, jak wrasta cierń głogu
W rozciętą gałąź, co rodzić ma róże,
I na mogilnym gdzieś chyba rozłogu
Z pod tej się krwawej chorągwi wysłużę,
Ziemi ją zdając. A dziś — widno Bogu —
Że ja tu w żadnych rozkoszach nie płużę,
I każdy kwiat mi na piersi usycha,
Czując, jak serce pod znakiem tym wzdycha.

Więc nie na krzywdę, na dolę i wolę
Lucyla mego bezdomnym zostawię,
I w świat go puszczę, jak strzałę przez pole;
Śnić mu nie każę snów starych o sławie,
Lecz dam mu pióra swobody sokole
I w bój go taki, w pęd taki wyprawię,
Coby go nosił od końca do końca
Pieśni, wolnego jak wiatr, jak błysk słońca.

Do takiej drogi i do takich lotów
Wielki on pociąg ma z samej natury.
I książkę nawet wysadzić mi gotów,
Jak mina prochu, rzucona pod mury.

Pastuszek z kozą, ów ideał Giottów,
W nim nie porusza krwi młodej purpury,
Ale mu serce żga, jak ostra dzida,
Orland Szalony i piękna Armida.

Księgi mu dotąd były całym światem,
Teraz go jakaś tęskność w piersi bodła.
Więc nad uczonym ślęcząc dylematem,
Na kartach kreślił fantastyczne godła
I błądził po nich spojrzeniem skrzydlatem.
A potem konia chwytał, i bez siodła,
Bez tchu, bez czapki i prawie bez duszy
Leciał, jak pocisk, wyrzucony z kuszy.

Pragnienia jego, dawniej kształt mające,
Jęły się teraz mieszać i rozwiewać.
Jakoweś chcenia, chcące i nie chcące,
Od których dusza zdaje się omdlewać,
Otoczyły go, jako mgły gorące...
Chciałby iść, bić się, chciałby płakać, śpiewać,
A w najtajniejszej z tajemnych skrytości
Marzył o jakiejś ognistej miłości.

Była to dusza niepowszednia wcale,
Choć krucha, jak to kosztowne naczynie,
Które Salviati wydmucha w krysztale.
Zwyczajne dusze, ulepione w glinie,
Po wypaleniu brzęczą doskonale;
Wlej w nie, co zechcesz, i staw na kominie —
Ledwo się z której ·polewa okruszy.
Do śmierci starczyć może takiej duszy!

Lecz taki wdzięczny, kosztowny puharek,
Jak tulipana kielich, gdy się zmruży,
Jeśli go oddasz na ręce kucharek,
Niedługo ci swą pięknością usłuży.
On do perłowych jest stworzony ziarek,
Do rozwiniętych świeżo pąków róży,
Do win kosztownych, do tego promienia,
Co kanty jego w djamenty zamienia.

Widziałam nieraz kosztowne okruchy
Takich strzaskanych dusz; widok to smętny,
I odwracają się od niego duchy,
I płacz je chwyta nagły i namiętny,

Kiedy po złotych dnach siedzą ropuchy
I owad brudem ognieździa je wstrętny,
A szczątek jeszcze, zda się, drga z boleści...
Lecz do Lucyla wróćmy i powieści.

Szkoda, że zasnął, bo wstęp jest to przecie
Miejsce na jakąś efektowną scenę.
Bohater mógłby naprzykład w bankiecie
Młodość swą sprzedać za karjery cenę.
Mógłby na Ischii mieszkać lub w Damiecie,
A nawet mógłby, raz już wpadłszy w wenę,
Po miecz Rolanda w przeszłość się wyprawić,
A wieś tymczasem sprzedać lub zastawić.

Poemat na tem zyskałby coś może.
Lecz jakiś dziwny wstręt mi nie pozwala
Dotykać karków, zakutych w obroże.
A ziemia, którą stos trupów przywala,
Zaraźliwymi tchami gasząc zorze,
I ta, co świeci rumowiskiem zdala —
Nie jest nędzniejszą dla mnie od krainy,
Niemiłowanej przez swe własne syny.

Więcej nie mówię i mówić nie mogę.
Ale żórawie, za morze co lecą,
Jakąś żałobę unoszą i trwogę
Z ziemi, gdzie jasne wulkany nie świecą,
I szmaragdową napełniają drogę
Krzykiem, który ich długie sznury miecą,
I obwołują na szumne głębiny
Wielkie nieszczęścia, ale większe winy.

O ciche pola! O wy senne niwy!
Nigdyż nad wami słońce nie zaświeci?
Nigdyż nie wzejdzie taki dzień szczęśliwy,
W którymby piękność waszą nie poeci,
Nie rym mniej więcej trafny lub fałszywy,
Ale uznały wszystkie wasze dzieci,
I wrzącą piersią przylgnęły do roli...
Nigdyż?... O, jak mnie to pytanie boli!

Przez całe dzieje, jak doba ich długa,
Dziwnie byliśmy w błękity rzuceni,
Porwani skrzydły husarzów od pługa
I u gotyckich wieżyc uczepieni.

W górę nas parła żelazna kolczuga,
A rozmach konia, kopji i pierścieni
Oślep nas cisnął pod strop firmamentu,
I tak stał dziwny gmach — bez fundamentu.

Więc my zgrzeszyli dziejom przez ten ślepy
Pęd, co z nas strzelił wieżami złotemi
I chmury nakrył drogimi czerepy
Blach srebrnych, w niebo porwanych od ziemi.
W kruchtach my czołem bili, jako cepy,
Jak dzwon w modlitwach głośni, ale niemi,
Kiedy dla własnej i ziemskiej istności
Przyszło rzec słowo braterstwa, miłości...

Lecz koń, i kopja, i zbroja, i wieże —
To życia ludom ni siły nie daje.
Życie — to ziemia, to łono jej świeże
I chleb rodzące, to niwy a gaje.
Siła — to dłoń ta, co sochy się bierze
I lemiesz kuje i skiby nam kraje,
To ta siermięga, ta chłopska sukmana,
W którą jest Polska Piastowa odziana.

To życiem było i to fundamentem,
Wzgardzonym w naszej obłocznej budowie.
Więc my się z hańbą zwalili i wstrętem,
I leżym w wielkim mogilnym dziś rowie...
Ksiądz Robak stoi naszym monumentem
Pokutnym; szlachta (niech jej Bóg da zdrowie!)
Śpi snem śmiertelnym pod połą kontusza,
A nad nią napis: »Niech nikt jej nie rusza«.

Ha! ja ją ruszę! Ja na to się ważę,
By ściągnąć rękę do mogił tych hardą,
Zerwać całuny i spojrzeć w te twarze,
A jeśli będą trupie — spojrzeć z wzgardą.
Tak, ja ich ruszę! Oddawna już marzę
Jakąś pobudkę i jakąś pieśń twardą,
Coby Łazarze wskrzesiła gnijące
Okrzykiem: Dzień już! Wstawajcie! Już słońce!

Co zaś do miecza, niech pan Bóg mnie broni
Od filisterstwa i Rolandowstrętu!
Nieraz ja słucham nocą, czy nie dzwoni
Szabla od Baru i zbroja z djamentu.

Do złotych pyłów za tabunem koni
I do gromkiego tęskno mi tętentu,
A ręka moja drży, kiedy to piszę,
I serce własną chce przeklinać ciszę.

Ale mi trzeba pod nogami ziemi
Więcej, niż tyle, by na niej postawić
Posąg rycerza z skrzydłami orlemi
I urnę z prochem przeszłości, i sławić
Pamiątki martwe ustami trupiemi...
Lecz dosyć! Pióro też się może krwawić
I mieć łzy swoje i ból, i omdlewać,
Jak ptak raniony, co już nie chce śpiewać.

Zresztą — dziś tylu mamy bohaterów
I wielkich ludzi na małej tej ziemi,
I tyle wkoło wielkości tej szmerów,
Co się rozchodzą echami brzmiącemi
Wielkich ostatnich, i wielkich premierów,
I świat już taki zapchany jest niemi,
Że — przebacz, sławo! — ale w twem imieniu
Lucyla mego pozostawię w cieniu.

Lecz niech nie sądzi nikt, gdy mówię: »sławo«,
Że ja tu zaraz koszyk róż wysypię,
I będę nęcić tą bogów potrawą,
Co podniebienie i łechce i szczypie,
Do której człowiek nie rychlej ma prawo
Zasiąść, aż kiedyś, na własnej swej stypie,
Tak że niejeden, spragniony jej smaku,
W łeb sobie strzela, lub kończy na haku.

Nie! Dla mnie sława — to łez pełna chmura,
Na którą słońce swój blask rzuca krwawy;
To płonącego masztu jest purpura
W pośrodku burzą kołatanej nawy;
To ustrzelone dzikim orłom pióra,
Co się wśród śmiecia walają i trawy,
To grób zgwałcony, gdzie ci się po śmierci
Nietylko robak, lecz i człowiek wwierci.

I myśli twoje trząść będzie na pyłki,
Podobne lichej, ulicznej kurzawie,
I nie zostawi w ciele twojem żyłki,
Którejby palcem nie dotknął ciekawie,

I twoje zwykłe, człowiecze omyłki
Na oskarżonych sadzać będzie ławie,
I z serca twego plan zdejmie i miarę
Przez tę, gdzie pękło, krwawiącą się szparę.

Sława! O, niechaj się kto chce zadławi
Jej gorzkim chlebem, pieczonym z piołunów!
A serce swoje potomnym zostawi
Do odczytania, nakształt dziwnych runów.
Mnie — niech mogiła cicha błogosławi
I noc miesięczna, a nie błysk piorunów,
I niech nieznany proch mój się rozwieje,
Jak ranny tuman, gdy zorza zadnieje.

Eloe! Cichych grobów powiernico!
Ty mi na czole połóż dłoń twą białą
I oczy moje zakryj tajemnicą
I ramionami osłoń moje ciało.
Niech mi nikt na twarz nie świeci gromnicą,
Bo serce moje będzie jeszcze drżało
Pozagrobową, przedłużoną męką,
Pod cudzym wzrokiem i pod cudzą ręką.

Tymczasem Lucyl spał. Dziwne widzenia
Po rozgorzałym mózgu mu chodziły.
Senne przeczucia, senne przypomnienia,
Jak chmura ptasząt, na serce mu biły.
Pęd jakiś w duszy czuł, jak pęd płomienia,
I żar, i oddech nowej, wielkiej siły,
Co mu nad czołem przyszła wichrzyć włosy
I giąć go, jako palm zielone kłosy.

Nagle go szumy dalekie porwały,
I został mocnym wichrem uniesiony.
A jako orzeł wśród burzy omdlały,
Co w piorunową chmurę wszczepił szpony,
I w błyskawicach białych leci biały,
A z elektrycznych wężów ma korony,
I jest dla oczu przeraźliwym widem
I żywym, w skrzydła bijącym bolidem:

Tak Lucyl leciał w niewstrzymanym pędzie,
Na podniesieniu wichrów rozciągnięty.
Ogromnych chmurzyc czerwone krawędzie
Dawały z siebie błyski i tętenty,

A on, nie wiedząc co z nim jest, lub będzie,
Na ostateczne czas liczył momenty,
I już był cały w szumach zasłuchany,
I nieprzytomny, i wichrami gnany.

Zrazu chciał walczyć, oprzeć się — daremno!
Nad wielkim, burzą zamierzchłym obszarem,
Chwycony mocą okropną i ciemną
I oślepiony błyskawic pożarem,
Przejęty dziwem i trwogą tajemną,
W powietrzu pełnem widm, mętnem i szarem,
Gdzieś w nieskończoność pędzony wichrami,
Leciał, jak zwiędły liść pod obłokami.

A ta, nad którą niesion był, kraina
Rwała się pod nim z posad i ze zrębów.
Miasta i wioski, jak pusta łupina,
Wśród mgły się gęstej przewalały kłębów,
Puszcze się chwiały, szeleszcząc jak trzcina,
A roztrzaskane czoła starych dębów
Szły w paździerz złotą, niby powięź słomy,
Tak w nie cepami błysków biły gromy.

Aż w tym zmieszanym nawałnicy szumie
Począł rozróżniać odgłosy i dźwięki,
Pokryte burzą. Tak w przyćmionym tumie
Organ pokrywa westchnienia i jęki
I szepty modłów, płynących w zadumie
Do szyb gotyckich, ubranych w jutrzenki.
Odgłosy dziwne i dźwięki drażniące
Melodyi, w tonów rozbitej tysiące.

Daremne Lucyl czynił wysilenia,
Żeby się myślą w tę muzykę wsłuchać,
Co się zdawała mieć harfy z płomienia
I w kontrapunkty szalone wybuchać.
A takie miała echa, takie drżenia,
Że mogła z serca pył ziemi odmuchać,
I uczynić je cichem a gorącem
I o mogile jakiejś wielkiej śniącem.

Ale ta walka z mrocznymi żywioły,
Z niepochwyconą a zwycięską siłą
Zetliła wolę jego na popioły.
Pochylił głowę, omdlał. Tak mu było,

Jakby już nad nim płakały anioły,
I piasek spadał nad jego mogiłą...
Opuścił ręce i oddał się mocy,
Która go niosła wśród burzy i nocy.

Kto wie, jak długo leciał: może wieki,
A może jedną błyskawiczną chwilę.
Pod sobą słyszał huk morza daleki
I szelest wody słyszał w ziemnej żyle,
A piersi jego pękały od spieki,
Podobne wyschłej na ugorze bryle,
I tylko czekał, rychło go lecącą
Kolumną wichry na pyły roztrącą.

Wtem nakształt jakiejś olbrzymiej synkopy
Stanęła ciemność, choć wiatr ją nadymał.
Już pierwszych brzasków paliły się snopy
Rudą czerwienią, pod którą świat drzymał.
I uczuł Lucyl, że spada, i stopy
Dotknęły gruntu, i tu się zatrzymał
Na pustem wzgórzu, jak ptak, co nad sidłem —
Myśląc, że leci jeszcze — bije skrzydłem.

Wzgórek był dziki i w łunach stał zorzy,
Która z chmur wyszła dymiąca i krwawa.
Sąd się tu jakiś odbywać miał boży.
Belka poprzeczna w słupach, pod nią ława,
U belki sznur się kołysze i tworzy
Wahadło śmierci, którego oprawa
Okropny zegar, co liczby ma żywe,
Ukazujące godziny straszliwe.

Pod wzgórzem fala głów ludzkich kipiąca,
Trwożną źrenicą w dwa słupy te wbita.
Cisza nad tłumem od końca do końca.
Hak z wiatrem skrzypi, obraca się, zgrzyta...
Wtem uderzono w bęben, a z tysiąca
Piersi jęk buchnął, ten jęk, który wita
Rzeczy okropne. Więc Lucyl się zdumiał,
I że tu głowę dać przyjdzie — zrozumiał.

PIEŚŃ II.

A gdy tak myślał, podniosły się z ziemi
Ciężkie opary, a wodne głębiny
Wydały oddech, i kręgi mglistemi
Wyszedł dech z lasów pomroczny i siny.
I widział Lucyl, stojący nad niemi,
Jakby westchnienie tej smętnej krainy,
I poznał, że to rzecz straszna, choć cicha,
Gdy ziemia sama tak nad sobą wzdycha.

I nagle ujrzał w wielkiem zadumieniu
Chóry gwiazd żywych, rozbłysłych na niebie,
Co go objęły pierścieniem. W pierścieniu
On sam był środkiem i blask dawał z siebie.
I ujrzał litość w gwiazd onych spojrzeniu,
I zmiłowanie, i pomoc w potrzebie,
Gdy tak w powietrzu ważyły się cichem
Nad serca jego zmąconym kielichem.

Jeszcze się z owej nie ocknął zadumy,
Co letargiczne dała mu pozory,
Kiedy wtem łoskot posłyszał i szumy,
Jak gradobicie, kiedy tłucze bory.
I ujrzał z mroków jawiące się tłumy,
Wymalowane w rozliczne kolory,
Postaci dziwne, złowrogie, człowiecze,
Co oczy miały tak białe, jak miecze.

A jako bractwo dziwnego różańca,
Na łbach nosiły jednakie kaptury,
Zapięte szponem twardego kagańca.
Po wierzchu czarny hełm strzelał do góry,
I czarna kita, jak buńczuk pohańca,
Na wiatr rzucała swój furkot ponury,
I tak szły hełmy, jak zastęp bojowy,
Ręce przed siebie wytknąwszy i głowy.

Jak las nad nimi sterczą jasne groty,
Jak grzmot przed nimi niosą się okrzyki...
Już się puściły pędem owe roty,
Wydając jakiś świst przeciągły, dziki.

Lucyl na czole uczuł zimne poty,
Słysząc, jak owe czarne bojowniki
Okropnym wrzaskiem huknęły w powietrze...
Chwila — a czerń ta rozbije go, zetrze.

Nagle stanęły hełmy. Pierścień złoty
Zwęził się, nakształt miesięcznego koła.
A jak żórawi klucz, gdy zmiesza loty,
Tak zaszedł anioł jasny za anioła,
I stanął puklerz przedziwnej roboty,
Gdzie każda łuska jest gwiazdą u czoła,
A każdy turkus — błękitną źrenicą,
A każdy przegub — oczu błyskawicą.

I uczuł Lucyl pod oną paiżą
Jakieś ogromne natchnienie serdeczne,
I odgadł, że mu duchy te przybliżą
Przed wzrok olśniony rzeczy ostateczne.
Czuł, jak mu błyski nad czołem się niżą,
Jak mu pierś tchnienie oblatuje wieczne,
Więc tą skrzydlatą tarczą zasłoniony,
Moc w sobie uczuł i treść za miljony.

A już się nad nim zapalił bój srogi,
Jak jasny pożar na trzy strony słońca.
Wnet wystąpiły wielkie mleczne drogi,
A każda była duchami tętniąca.
Wnet zatrąbiono w dwa miesięczne rogi
Pobudkę grzmiącą od końca do końca.
Pies się w zodjaku wściekł i szczekał głośno,
Wietrząc par krwawych woń mdłą i nieznośną.

I ujrzał nagle chmury pełne duchów,
Gnanych wichrami na śmiertelne boje,
I widział, jak się z globowych łańcuchów
Zrywały jakieś okropne heroje,
Jak wpośród nagłych, gromowych wybuchów
Trzaskały w chmurach oręże i zbroje,
Jak wielkie hufce, przez bramę tęczową
Oślep leciały z kopjami nad głową.

A pod nim ludu tłum, i cisza głucha,
I wytężone ku niemu źrenice.
Tak owa ciżba z drżeniem patrzy, słucha,
Jakgdyby wszystkie życia tajemnice

Ten bój dwu potęg o ludzkiego ducha
Miał tu rozwiązać. A te błyskawice,
Któremi chmury przeciw sobie miecą,
W zbladłych obliczach przerażeniem świecą.

I jeden tylko Lucyl stał niezlękły
W dnia wschodzącego brzasku i purpurze,
Kiedy wtem światła jakieś nad nim pękły,
Sypiąc ogniste fontanny i róże.
Nakryte błyskiem tłumy ludu jękły,
A hełm największy z czarnych, w swym kapturze,
Okropny dzwonnik, u chmur zawieszony,
Bił w nadpowietrzne, niewidzialne dzwony.

A od każdego dzwonów uderzenia
Pękało jedno w puklerzu ogniwo,
I jeden turkus wypadał z pierścienia,
I gwiazdy gasły, dymiąc jak łuczywo,
Jedna po drugiej. I nagle, wśród cienia,
Ponad tą tłumów ciszą przeraźliwą
Buchnęło głośne po głębinach łkanie,
I płacz, i wielkie o litość wołanie.

I uczuł Lucyl ogromną tęsknotę,
I wielki smutek młodości, co kona,
Przez żadną miłość i żadną pieszczotę
Nienawiedzona i nieukojona,
Smutek młodości, co sny miewa złote
I do mar pięknych wyciąga ramiona,
I, jak kwiat, serce do słońca otwiera,
I życia łaknie — i wie, że umiera.

PIEŚŃ III.

Lecz już, jak pierścień żelaznej gadziny,
Czarne go hełmy objęły dokoła,
I dym świec czarnych obleciał go siny,
I trupie palce dotknęły mu czoła,
Znak potępienia nań kładąc i winy.
Chciał mówić, ale uczuł dłoń anioła
Na ustach. Wnet go całunem nakryto,
Pod nogi ławę, na twarz san-benito...

Tu ujrzał dziwną rzecz przez one płótna:
Jakiś ogromny horyzont daleki,
Gdzie wzrok mu leciał sam, jak strzała rzutna.
Kraj pełen świateł, bieżących jak rzeki,
Dźwięczący pieśnią zórz, jak harfa smutna.
Lecz, zanim spuścił olśnione powieki,
Już wytrącono z pod nóg jego ławę,
Uczuł, że spada, a skrzydła ma krwawe.

Jeszcze się za nim krzyk puścił złowrogi,
Jak jastrząb, kiedy skowronka dogania,
Lecz już mu jasne otwarły się drogi,
Złotego świtu pełne i zarania.
Już go niósł powiew ożywczy i błogi,
Już nowych skrzydeł u ramion czuł drgania,
Już piersi jego ściśnione dech brały
Od ros, jak powój na słońcu omdlały.

Zaczął spoglądać, oddychać, a owe
Cienkich obłoczków fałdy i draperje
Słały mu łoże w jutrzenkach perłowe,
Świecąc w przezroczu, jak owe misterje
Słoneczne, one dna Rafaelowe
Z główek anielskich, co są jak baterje
Róż białych, w skrzydła rzuconych gołębie
I trzepoczących się przez modre głębie.

Nagle pęd ustał, a Lucyl olśniony
Stanął wśród gmachu niezwykłej struktury.
Kaskad go kryły ruchome zasłony
I latające tęcze swemi pióry.

Gmach był, jak greckie świątynie, stawiony,
Z wolnym tchem w błękit i słońcem u góry,
A dusza kolumn echowa, harfiana,
W powietrzu była dźwiękami rozwiana.

I nagłe serca chwyciło go drżenie,
I zanim podniósł płonącą źrenicę,
Już miał swojego losu objawienie,
Już życia swego odgadł tajemnicę.
Już czuł, że go tu niosło przeznaczenie,
By ujrzał we snach marzoną dziewicę.
Więc głosem cichym, jak ten, co zaklina
Duszę swej duszy, szepnął: »Imagina!«

I przyszła. Spojrzał: jak sen jasny stała,
I jak kwiat, z pąka idący do góry.
U piersi jedna tylko róża drżała,
Jutrzenki blasków pełna i purpury.
Szata ją kryła rozwiewna i biała.
Tak Fidjasz swoje odziewał marmury,
Gdy na boginię, strząsnąwszy z niej pianę
Mórz, rzucał cienkie gazy, dłótem tkane.

»Wołałeś — rzekła — i oto przychodzę.
Twojem pragnieniem i twoją tęsknotą
Ja żyję... karmię się niemi i chłodzę...
Serca ja twego kwieciem, gwiazdą złotą,
Którą raz każdy spotyka w swej drodze...
Ja tajemnicą siły, snów pieszczotą...
Do mnie iść trzeba przez śmierć i przez trwogę.
Jak słońce wschodzę; lecz zostać nie mogę.

»Miłość — to tylko jeden z tych promieni,
Które u czoła noszę. Jam jest mocą
Do czynów wielkich, smętnych... Jestem ksieni
Tych, którzy własne serce swe druzgocą
I w przyszłość idą, przyszłością natchnieni...
Z długiej zadumy ja rodzę się nocą...
A stokroć błogi ten, kto mnie przywoła,
Mnie — duszy swojej płomień i anioła...

»Idź, idź, idź naprzód! Ja także iść muszę,
Bo droga moja górna i daleka...
Lecz wkoło ciebie świat czarów poruszę,
A kto miłuje — jest wierny i czeka...

Co do mnie, w dziwnej losów zawierusze,
Zaledwie dotknę skrzydłami człowieka,
Ledwo go zbudzę — już odejść mi pora,
Bom ja kochanka świtów, nie wieczora.

»Już dzień, już czas mi! Nie rzucę cię przecie,
Chociaż mnie siła unosi fatalna.
Oto w najpierwszej spotkanej kobiecie
Żyć będę, oczom twoim niewidzialna.
Cokolwiek dla mnie przecierpisz na świecie,
(Tutaj dziewica staje się banalna)
Jeśli mi wiernym będziesz w tej postaci,
Miłość ci moja za wszystko zapłaci«.

I lżejsza, niż cień, co pierzcha przed słońcem,
Z tęsknych się objęć młodzieńca uchyla.
Ostatniem jeszcze spojrzeniem gorącem
Płomień zażega w źrenicy Lucyla,
A potem blasków zachodzi tysiącem.
Jedno westchnienie jeszcze, jedna chwila —
I — niech mu niebo śpieszy na ratunek —
Lucyl na ustach uczuł pocałunek.

O, dajcie mi tu teraz z mgły zasłonę,
Którą srebrzyste przędą wodospady!
Niech mi gaj cichy swe zmierzchy zielone
Rzuci, jak szatę spłoszonej Dryady.
Niech ptak roztrzęsie pióra uroszone,
Niech białe róże sypią kwiat swój blady,
By oko ludzkie nie dojrzało drżenia
Ust, co się nagle napiły płomienia.

Pierwszy dreszcz błogi, pierwszy pocałunek,
Pierwsze omdlenie w miłosnej pieszczocie —
Oto jedyny ze szczęściem rachunek,
Który tu życie wypłaca nam w złocie.
Na każdym innym popełnia rabunek,
W miedzi nam płacąc, lub w lichym banknocie,
I wytrącając lichwiarskie procenta,
Zniżki waluty do grosza, do centa.

Więc czy żebrakiem kończysz, czy bogaczem,
Wiedz, żeś jest zawsze strasznie oszukany,
I żeś opłacił wysokim haraczem
Kwitki i weksle i nędzne liczmany,

Które czy będziesz mieniał, gdzie, i na czem —
Kazus wątpliwy jest i niezbadany,
Bo jakoś dzisiaj niebo się zaćmiło
Nad dyskontowym bankiem za mogiłą.

Dziwne, o dziwne jest to omamienie,
Które nam każe wierzyć, że natura
Ma dla nas inne jakieś przeznaczenie
Nad to, które jej służy. Ta wichura
Celów, zabiegów, co nas gna, jak cienie,
To dziejów naszych robota ponura,
To sztuczny wytwór tej pychy człowieczej,
Co glinie własnej swej istoty przeczy.

Świat cały zdobądź i przykuj do nogi,
Jako brytana, co drży na łańcuchu,
W miesięczne noce wypatruj gwiazd drogi,
I utoń myślą jak nurek w ich ruchu,
Zdepcz kryształowe oceanów progi,
Jak ptak na skrzydłach, tak noś się na duchu,
Czarę potęgi i wiedzy pij haustem —
Samotny — będziesz nędzarzem, lub Faustem,

I oddasz wszystko, coś zebrał, jak sknera,
Za jedną chwilkę, w której serce bije.
Powój wiosenny, gdy kielich otwiera,
I promień słońca, co go spali, pije,
Fala, gdy pędzi na brzeg i zamiera,
Wszystko, co kocha i ginie — to żyje.
Ty sam się rodzisz i umierasz poto,
Byś raz z miłosną spotkał się pieszczotą.

Poza tem jesteś, czem chcesz: demokratą,
Posłem na sejmy galicyjskie, hrabią,
Mędrcem, bankierem, handlujesz herbatą,
Masz dziennik, którym nietoperze wabią,
Jesteś krytykiem, szewcem — dajmy na to —
Radcą, genjuszem, kreaturą babią,
Jakimś bez celu, wbitym w kraj swój ćwiekiem —
W miłości tylko jednej tyś człowiekiem.

Ty nie masz swoich opinji, ambicji,
Prócz tej, żeś szczęśliw, lub że chcesz nim zostać.
Może cię zwalczyć mówca opozycji,
Mogą twój wstępny artykuł wychłostać,

Może być hrabstwo zniesione w Galicji,
Świat cały może przybrać inną postać,
Możesz nie znaleźć rymu do oktawy —
Co cię obchodzą takie nędzne sprawy!

W wyciągniętemi w brzask cichy ramiony
Pozostał Lucyl nieprzytomny sobie.
Kto takiem widmem nie był nawiedzony
W życia swojego porankowej dobie?
Kto nagłą szczęścia ekstazą ruszony,
Do snów swych ręce wyciągnąwszy obie,
Nie trwał tak chwilę, a nawet godzinę,
Mając, wyznaję, dosyć głupią minę?

Są tacy nawet, co życie swe całe
W tej niewygodnej pozycji przetrwali,
Wznosząc ramiona, latami omdlałe,
Za drogą marą, znikającą w dali.
Pokój im! Niechaj spojrzenie zuchwałe
Oczu im zgasłych szyderstwem nie pali.
Ostatnie to są na ziemi Bayardy,
Zakon w słabości swej silny i hardy.

Ale już słońce całym snopem padło
Na twarz młodzieńca; zbudził się — i skoczył,
Chcąc wstrzymać lube, niknące widziadło,
Kiedy wtem nagle o dwa kroki zoczył...
Mamże powiedzieć?... Z rąk pióro wypadło...
Lucyl pobladnął, zachwiał się, zatoczył —
I za stół chwycił, na którym zszarzana
Leżała księga: »Rozmowy Lucjana«.

PIEŚŃ IV.

Stare szyderstwo! stare bogów prawo!
W przepaściach wieków słyszę śmiech histrjona...
Czy człowiek kocha, czy pędzi za sławą,
Czy wiedzy szuka, czy cierpi, czy kona,
Zawsze on widzi maskę jakąś krwawą,
Co stoi nad nim dziwnie wykrzywiona,
Jakby tam, w górze, Olimp rozpasany
Czynił z nas sobie wieczne Atellany.

Próżno uciekam na wyżyny ducha
I staję, cała w gwiazdy opłynięta.
Nade mną straszny śmiech jakiś wybucha,
U rąk mi brzęczą niewoli mej pęta,
Jakaś źrenica okropna i sucha,
Co płaczu nie zna i łez nie pamięta,
Jaskrawo za mną po ciemnościach chodzi
I szydzi z dziecka, zanim się narodzi.

O, bądź miłościw, i na małą chwilę
Zakryj mnie dłonią, jak ptaka bez pierza!
Niech odrobiną prawdy się posilę,
Niechaj dokończę mojego pacierza,
Niech kwiat zasiany wzejdzie na mogile,
Niechaj posłucham, jak serce uderza,
Niechaj lot wezmę przez okrąg słoneczny...
Ty możesz czekać! Ty, ty jesteś wieczny!

Był jar pod górą wysoką, kamienną,
Która nad czołem miała tylko Boga.
Na pierś jej chmury kładły głowę senną,
Zanim wichrowa porwała je droga,
A słońce nigdy swą stopą promienną
Nie przestąpiło rozpadlin tych proga,
Gdzie wśród bazaltów, złożonych jak księga,
Sto srebrnych zdrojów noc chłodna wylęga.

U bioder góry las szumiał jodłowy,
Chwiejąc swe czarne chorągwie i kiście.
Tam starych jedlic leżały tułowy
I rzadkich dębów szeleściały liście,

Z pod wywalonych pniów gobelin mchowy
Do grzązkich pieczar wyściełał tam wniście,
Gdzie pod rzuconą, jak pas słucki, tęczą,
Strugi po żwirach, trącając się, brzęczą.

W mgłami nakrytym i dzikim tym jarze
Stał dom, co kształty miał dość fantastyczne.
Burzliwe wichry trzymały tam straże,
Z orłami spory prowadząc graniczne;
Strzaskane głazy, jak stare ołtarze,
U wejścia stały dziwnie druidyczne;
Na jednym pająk tkał tęczowe płótna,
Na drugim róża kwitła; była smutna.

Dach był wysoki, dziwacznie wygięty,
Jak przewrócony dzwon. Gdy wichry biły,
Szły z tej kopuły jęki i lamenty,
Jakby się duchy błędne tam żaliły.
Na ścianach zrębu grube ornamenty
Jaszczurowymi skrętami się wiły;
Kto spojrzał na nie, miał sny niespokojne
I Łysą górę przyśnił, albo wojnę.

Wewnątrz ład dziwny. Szkatuły i skrzynie
Jedne na drugich u ścian nagich stały,
Mosiężne wilki tkwiły na kominie,
Gdzie się z jałowca podnosił dym biały,
W pośrodku basen; dziś dawno nie płynie
Woda, którą tu jasne muszle brały;
Nad drzwiami rysie pazury, wszczepione
W surowym dębie, trzymały koronę.

Mówiono — czegoż nie wymyślą prości? —
Że niegdyś młody książę tej krainy
Uwił tu gniazdo wiosennej miłości
Dla pięknej, w lesie spotkanej dziewczyny.
Potem porzucił, czy zabił z zazdrości —
Różne tam o tem chodziły nowiny —
A księciu przecie zabawić się wolno
W miłość, tak dobrze w leśną, jak i w polną.

Dosyć, że teraz dom był w rezolucji
Dziwnej władczyni, która tu rządziła
Bez parlamentu i bez konstytucji.
Pierwszem był prawem kaprys, drugiem — siła.

Dotąd nie było w państwie rewolucji,
Choć sceptr z rzemieniem na końcu dzierżyła,
I choć aż nadto było dobrych racji
Do sprzysiężenia i konfederacji.

Główną przyczyną owego spokoju
Było, jak mniemam, że dobra ta pani
Miała w swej służbie zdrój najpierw; prócz zdroju
Miała powietrze w błękitnej otchłani;
Potem szmat ziemi z jakiegoś podboju,
Wreszcie żar w garnku; a nędzni poddani
Woleli cierpieć najsroższą niewolę,
Niż się raz zgodzić i ruszyć na pole.

Więc z roku na rok ciągnęły się waśnie,
A tutaj bieda zjadała ich prawie.
Żar na kominie, bywało, już gaśnie,
Zdrój ledwo sączy wód resztki po trawie,
W powietrzu ucisk, a ziemia jak zaśnie,
Ledwo ją wiosną rozbudzą żórawie;
I wszyscy razem wyszli na charłaków
Tak cienkich, żebyś przez nich dojrzał Kraków.

Stąd zdrowa stanów rządzących maksyma:
Kto siły nie ma, miecza nie podniesie;
A siły niema tam, gdzie zgody niema,
A zgody niema, gdzie myśli, jak w lesie.
Dźwigać poddanych w jakiegoś olbrzyma
Nie jest bynajmniej w rządów interesie.
Ergo się gryźcie, jak psy na łańcuchu:
Ktoś patrzy na to i śmieje się w duchu.

Kto była owa szczęśliwa królowa
Sprzecznych żywiołów — nie wiedział nikt zgoła.
Postać jej sucha, koścista, widmowa,
Las siwych włosów jeżył się u czoła,
Spojrzenie żrące, wśród chust czarnych głowa,
Twarz blada, nakształt miesięcznego koła,
Zresztą, choć jeszcze nieuznane w Rzymie,
Megistelejda było jej na imię.

Tfu! Co za pomysł! Udławić się można!
Z góry już widzę, jak święta krytyka,
Spotkawszy słówko takie prosto z rożna,
Maca je, bada, do nosa przytyka,

Wreszcie orzeka, iż rzecz jest bezbożna,
Nieestetyczna, nawet dobrze dzika,
Kiedy poeta dziwolągi stwarza,
Mając tak wielki wybór z kalendarza.

Tak, to jest prawda. Lecz komuż na świecie
Będzie już wolno puszczać bańki z mydła,
Jeśli nie dziecku życia, nie poecie?
Kto zorzę schwyta, jak ptaszka za skrzydła,
Z kwiatowych pyłków kto kołacz zagniecie,
Kto, jeśli nie on, przez swoje mamidła
Kalendarz nowy stworzy i zodjaki,
Z których precz pójdą barany i raki?

Jeśli wam wola, kopcie się, jak krety,
By dojrzeć skrawek miesięcznego rogu,
Co zdobi lekkie nocy minarety,
I z pod ciemnego ziemi zrytej stogu
Czajcie się okiem ślepem na komety,
Aż je kalendarz obwieści z trójnogu.
Ale poeta!... On stamtąd jest rodem,
Gdzie wy patrzycie, cofając się przodem!

Wiem, za bluźnierstwo weźmiecie to nowe
I policzycie między ciężkie grzechy,
Które na moją potępioną głowę
Litośne słówka ściągną i uśmiechy;
I nawet biedne moje rymy »płowe«,
W pobożnem piśmie stercząc nakształt wiechy,
Dla organistów zostaną przykładem,
Jakim to pieśni zatrute są jadem.

Stójcie!... Zdaleka od tego ołtarza,
Kędy się pali duch, jak hostja złota!
Wpierw, niż kadzidło, niż woń trybularza,
Brał Pan objatę serca i żywota.
Bezduch go formy i chłód jej znieważa,
Nie wielka, w niebo bijąca tęsknota,
Która namiętnie uderza w błękity,
Pytając: gdzie jej Bóg, czemu zakryty?...

Czy wiecie, kędy ognistym językiem
Duch swą potęgę tworzącą donasza?
Czy wiecie, czyj głos jest życia okrzykiem,
Który z przepaści ziemia wznosi nasza?

Czy wiecie, komu tajemnym płomykiem
Oczyszcza usta węgiel Izajasza?
Czy wiecie — kiedy słowo jest wyzwanem —
Kogo Bóg swoim namaszcza kapłanem?

O, już oddawna nad głową schyloną
Biją te klątwy i te złorzeczenia;
A gromów waszych ognistą koroną
Czoło mogłoby gorzeć wpośród cienia.
Ale mnie Bóg sam trzyma uniesioną
Pod błękitami i wolną od drżenia,
I snadź chciał ze mnie mieć swą lutnię smętną,
Bitą wichrami, i burz dał mi piętno.

Cierpię i milczę, lecz pełną mam duszę
Jakiejś ogromnej, powszechnej spowiedzi.
I wiem, że ją tu kiedyś odbyć muszę,
Że już ten Chrystus zadumany siedzi
Na zrębie studni, którego ja wzruszę
Więcej, niż owa z dzbanem z jasnej miedzi
Na głowie, z miasta po wodę idąca,
Jak palma wschodnia wysoka i drżąca.

Lecz głośną chcę mieć spowiedź tę i jawną.
Niech się świat dowie, jakiej trzeba siły,
Aby iść drogą prawa, a nie prawną,
Jakiej uczycie wy, stare mogiły,
Bielone z wierzchu! Wyście się tą dawną
Zgnilizną waszą tak już przesyciły,
Że nawet kwiaty, co nad wasze próchno
Wiosną podnoszą głowy, trupem cuchną.

Gorzki to jest ton; a jeśli go biorę,
To nie dlatego, by wam się tłómaczyć.
Ale duch każdy ma czas swój i porę,
Kiedy mu trzeba o ziemię zahaczyć,
I uderzyć się o jej pył i korę,
I rys ognisty na korze naznaczyć,
I stopić żwiry, leżące pod pyłem,
I znak położyć, co mówi: tu byłem!

Niechże więc temu imieniu się szczęści.
Ma ono przytem swoją tajemnicę...
Greku! gdyś stwarzał obie jego części,
Nie przeczuwałeś, że ja je tu schwycę,

Zwiążę, i babę romantycznej pięści
Klasycznem echem Hellady zaszczycę;
Lecz pokład myśli tak płytki w Europie,
Że kto grunt ruszy, Grecji się dokopie.

Czy była wspólność między miłośnicą
Młodego księcia a Megistelejdą —
Musi pozostać dla nas tajemnicą.
Tak, kiedy wichry po jeziorze przejdą,
Oczy obrazów dawnych nie pochwycą,
I ślad przepadnie za lekką Nerejdą,
Co, na błękitną puściwszy się ciszę,
Biała, na białych pianach się kołysze.

Jakbądź tam było, nie zmienia to wcale
Doli mojego bohatera, który
W dzikim tym jarze, na stromej gdzieś skale,
Rozpoczął żywot dosługi ponury,
I tak stał twardo przy swym ideale,
Że lasy mógłby rwać i nosić góry,
A serce w piersiach miłością miał wrzące,
I zapalone, i wielkie jak słońce.

Płomień go ducha trawił i z natury
Dawnej wypalał, jak klinga turecka,
I osypywał z żużlic, i do góry
Męża w nim dźwigał nad dawne to dziecko,
Co się krwi własnej lękało purpury
I które miało woń duszy szlachecką...
Woń, która idzie, jak wszystkim wiadomo,
Z różnych kordjałów, syconych pro domo.

Kraina widzeń, kraina uroków,
Ta go objęła czarami swojemi.
Czuł pęd ogromny i wolny od oków,
Które tu ducha trzymają przy ziemi.
Miał sybilińskie źrenice proroków
I siekł powietrze oczyma bystremi.
Był może orłem z Patmos, może Janem,
Z czołem, po brzegi wiecznością nabranem.

A taką w sobie czuł moc, taką siłę,
Że mógł wylecieć za czasu granice
I mógł na piersi nieść ziemską tę bryłę,
Jako bijącą skrzydłami orlicę;

Mógł, jak pelikan, otworzyć krwi żyłę
I karmić głodne przeszłości dziedzice,
A jako słońce mógł łzy ich osuszyć
I wyschłe mózgi ożywić i wzruszyć.

O wielkie chwile! o chwile ogromne,
W których się duchy młode rwą nad ziemię!
Z was to hart biorą zbroice niezłomne,
Szermierzy prawdy wy rodzicie plemię
I zapładniacie czyny wiekopomne.
Jako Siloe, tak ludzkość tu drzemie,
I martwa czeka, i stoi bez duszy,
Aż ją pęd duchów młodzieńczych poruszy.

Wtedy po siwych pleśniach idą dreszcze,
Z głębiny pod wierzch biją prądy świeże,
Świat-paralityk porzuca swe kleszcze
I z tych przysionków, gdzie szeptał pacierze,
W świątynie wchodzi, i hymny brzmią wieszcze,
I odnowione są jego odzieże,
I myśli jego, i czucia, i słowa,
A młodość jego, jak młodość orłowa.

Wielka godzina, godzina tworzenia!
Stare się formy wytliły i gasną.
Ośmiel się mistrzem być! dotknij kamienia
I piękność ducha nieśmiertelną, jasną,
Wszczep w nowe kształty potęgą natchnienia!
W czyn przekuj siłę, a w siłę — myśl własną!
A wiedz, że idą dni wielkie i harde
I że dla słabych sam Bóg ma pogardę.

Wielka godzina! Kto słyszysz jej bicie
Wstań, a czyń! drugiej nie będzie dla ciebie.
Ogromną falą uderza w nas życie.
Kto silny, niech ją podgarnie pod siebie!
Niech się wyciągnie w słonecznym błękicie,
Młodości swojej niech w cieniach nie grzebie!
Niech wie, że ziemia czeka pełna drżenia
Na wzlot każdego orłów pokolenia!

Ale mój Lucyl nie był powołany
Do spraw tak ważnych. On w ustroniu dzikiem,
Losu swojego dźwigając kajdany,
Megistelejdy był dziś służebnikiem

I na jej rozkaz kurował różany
Krzew, co zakwitnąć miał modrym płomykiem,
Krzew dziwny, z rzeczy tych, które są górne
I w kwiatach jasne, ale w pąkach chmurne.

PIEŚŃ V.

Megistelejda zna wszystkie te czary,
Które się w ziemi i nad ziemią kryją;
Wie, czemu w niebie jest gwiazd nie do pary,
Wie, czem miesiące na pełnię się myją;
Wie, ile piórek ma skowronek szary,
Z czego się trepki Matki Boskiej szyją;
Wie, gdzie zasadzić i jak chować trzeba
Róże, by kwitły, jako skrawek nieba.

Tam, gdzie na zorzach rannych gra szczyt siny,
Gdzie drżąca lutnia gwiazd leży na chmurze,
Gdzie skał zwalonych olbrzymie ruiny
W łun przedwieczornych goreją purpurze,
Tam Lucyl dzikiej wyszukał szczeliny,
Aby w nią wszczepić cudowne te róże
I złotym kubkiem napawać je rosą,
Którą mgły nocne z nad morza przyniosą.

Praca to była posępna i krwawa.
Przez ostre szczyty, przez skalne urwiska
Wdzierał się Lucyl, a za nim kurzawa
Szła z trupich głazów i próchn bez nazwiska.
Mchów jadowitych wilgotna murawa
Z pod nóg mu w przepaść uciekała ślizka,
A dzikie ptactwo skrzydłami ciężkiemi
Oślepiało go i biło ku ziemi.

Dźwigał się przecież i przez skał występy
Szukał swej drogi w chmurach, zlany potem.
Skóra mu z dłoni padała się w strzępy,
A bezlitosne słońce okiem złotem
Tak biło w jego skroń, jak topór tępy.
Więc nieraz, nagłym chwycony zawrotem,
Opuszczał ręce i padał bezwładnie,
I czekał, aż to złote oko zbladnie.

A kiedy leżał tak bez tchu, bez duszy,
Megistelejda stawała tam rada,
By ostrym śmiechem rozdzierać mu uszy.
A widząc, jak ten człowiek ciężko pada

I jak się w swoim tym upadku kruszy,
Urągała mu, krzycząc: »Biada! biada!«
A śmiech jej leciał przez skalne załamy
W syki wężowe i w jaszczurcze gamy.

— »Oto śni!... Oto leży z jasną twarzą!
Śni, że jest wolny! Z czoła mu widomy
Ten sen! O biada! niewolnicy marzą
I w snach budują przyszłości swej domy...
O, niechże zaraz wichry go przerażą!
Sen o wolności!... Niech go zbudzą gromy!
Przeklęty! Dość mu pod głowę kamienia,
Żeby mieć jakieś sny, jakieś marzenia!...«

I biegła starym piszczelem z kostnicy
Bić w domu swego dach dźwięczny, jak w dzwony.
Wnet się zrywali krucy samotnicy,
Którzy tu mieli po skałach uchrony,
I wiatr pociągał, i szum nawałnicy
Naginał świerków jęczące korony.
A po kamieniach w powszechnym tym gwarze,
Jak żywe cewki, biegały kosarze.

Zrywał się wtedy Lucyl i pod zorzę
Szedł, co na piersiach góry cicha spała.
Nad nim mgły gęstej toczyło się morze,
I tylko jedna gwiazda bardzo biała,
W to zasępione ciśnięta przestworze,
Ostatkiem blasków mdlejących gorzała,
Gasła nareszcie, a poranne rosy
Z krwi mu i potu twarz myły i włosy.

Wtedy — o jakże czekał tej godziny! —
W cichych szelestach, w przejrzystych mgłach cała,
Leciuchna postać cudnej Imaginy
W jego mdlejące ramiona spływała
I na szyję mu rzucała rączyny,
Na pierś padając, jako róża biała,
I w smętne oczy patrzyła miłośnie,
Szepcząc o szczęściu, swobodzie i wiośnie.

I wnet go jasne opływały zdroje,
Ran zapalonych studząc spiekłe żary,
I zapomniane były wszystkie boje,
I cała nędza życia, i ból stary.

Duch jego znowu brał słoneczne zbroje,
Usta mu złote rzeźwiły puhary,
Wyciągał dłonie i, jak orzeł w słońce,
W przyszłość wytężał źrenice płonące.

O senne szczęście! Ty umiesz bez grzechu
Nagły dreszcz budzić i nagłe płomienie,
I serce trzymać mdlejące w uśmiechu,
I czarą ognia ust gasić pragnienie,
I szmer namiętny podsycać w oddechu,
I niepodobnych rzeczy dopełnienie
Przez jakieś dziwne zaćmienia i błyski
Rzucać nam w ręce, w ramiona, w uściski.

Lucyl na klęczkach, całując brzeg szaty,
Otwierał duszę słowami cichemi.
Były to owe porannych dni kwiaty,
Które maj życia rozrzuca po ziemi.
Chciałby ją porwać i unieść za światy,
Chciał, by się niebo zaćmiło nad niemi,
By sam mógł dla niej być światłem i słońcem,
Miłością w wielkim tym mroku płonącem.

»Nie odchodź! — mówił. — I gdziesz ty odcho-
Czy można odejść od tych, co nam mili? [dzisz?
Czy ty się, luba, raz drugi narodzisz,
By znów to uczuć, co czujem w tej chwili?
Czyś ty jest miesiąc biały, że zachodzisz,
Kiedy się ranek ze wschodu wychyli?
Czyś ty jest rosa biała?... Jeszcze ciemno!
Nie odchodź, droga moja, zostań ze mną...

»Ileż ja razy, zanim cię ujrzałem,
O uwielbiona i umiłowana,
Przed nieujętym jakimś ideałem
Padałem we łzach wrzących na kolana!...
Jak ja pod ducha powiewami drżałem,
Patrząc na oczy gwiazd gasnących zrana...
W jakiej ja długiej trawiłem się męce,
W samotność nocy wyciągając ręce!...

»O, miej ty litość, i trzymaj nade mną
Dłoń twoją białą i błogosławiącą!
Bo już się walką utrudzam daremną,
Bo już na ustach mam duszę mdlejącą,

Bo już mnie rozpacz dosięga tajemną
Falą i już się myśli moje mącą...
O, miej ty litość! O, utul mą głowę,
I mów mi słowa ciche, Chrystusowe...

»Kto wie, jak długi dzień mój... Daj mi przeżyć
Przy sobie szczęścia czystego godzinę!
Daj mi w anielstwo duszy mej uwierzyć!
Patrz! oto przyszły tutaj gwiazdy sine,
Aby mnie w drżącą pierś płaczem uderzyć..
Jeśli odejdziesz, jak dziecko tu zginę,
I będę skarżył się tym gwiazdom w niebie,
Żem ujrzał ciebie i utracił ciebie!«

A kiedy mówił tak, noc chłodna drżała
Od ognia jego ust, a róża śpiąca
Rozchyliła się, jako muszla biała,
I otworzyła pierś swą do miesiąca.
A ta, na której upadł, twarda skała
Była, jakgdyby żywa i tętniąca,
I od uderzeń serca jego głośna,
I już zalana łzami i miłośna...

O nędzo! Poco te noce płomienne,
Dla których niema tutaj dnia na ziemi?
Czego drży, czemu bije serce senne?
Jaki to wicher skrzydłami mocnemi
Chłoszcze nam w piersi to morze bezdenne,
Aż nas pochłonie fala i oniemi?
Gdzie nas prą, gdzie nas te porywy pędzą?
Na co te wszystkie sny?.,. O nędzo, nędzo!...

Straszna to była myśl zamknąć w łupinie
Piersi człowieczej cały świat marzenia...
Czującą iskrę wyrzucić w pustynie
Wiecznego głodu, wiecznego pragnienia...
I gnać ją wichrem tęsknoty, aż zginie,
I dla zginionej nie mieć zapomnienia,
Ale ją dręczyć męką ostateczną,
Męką tej jednej myśli: jesteś wieczną.

O, daj nam spocząć, Ty, co jesteś ciszą,
Jak spoczywają niemowlęta twoje!
Oto się lilje uśpione kołyszą,
Oto swój spokój mają jasne zdroje,

Oto ptaszyny po gałązkach wiszą,
Najlichsza muszka ma spoczynki swoje,
Czyż tylko człowiek, jak harfa wśród burzy,
Nigdy nie uśpi serca i nie zmruży?

Czyliż on tylko wśród ciszy i nocy
Gorzeć ma, jako lampa zapomniana,
I płomień ducha swojego sierocy
Wytężać w ciemność od zmierzchu do rana?
I tak się wytlić w śmiertelnej niemocy
Pragnień, jak gwiazda dziwnie obłąkana,
Do mózgu w czaszce i do szpiku w kości...
Czyliż dla niego noc nie ma litości?

O! kiedyż ja się ukoję i kiedy
Znajdę myśl cichą na oparcie głowy?...
Oto w powietrzu wieje woń rezedy,
Gajów gdzieś słychać wiosenne rozmowy,
Mgła bije w skrzydła, jako łabędź Ledy,
Cały od blasków zorzy rubinowy...
Pójdę na mchu się z powojem kołysać,
Paprocie zrywać, albo bajki pisać.

Tak, bajki tylko. Niech sobie pedanty
Mózg wysuszają nad księgi grubemi
I niech szlifują myśli swoich kanty,
Jak szkiełka czeskie... Ja, kiedy po ziemi
Spojrzę na słońce jej i słońc trabanty,
I patrzę na to, co się dzieje z niemi
I jak je dziwnie los pędzi nahajką,
To mi się wszystko zdaje — wielką bajką.

I wnet mnie chwyta szaleństwo to stare,
Co z ludzi smutnych dzieci puste czyni.
Księżyc mnie wtedy przebiera za marę,
Co błądzi biała wśród nocy świątyni,
A sam się do mnie uśmiecha przez szparę
W chmurach, nie większą, jak szpara w tej [skrzyni,
Którą pożyczył biednemu bogaty
Na znalezione pod ziemią dukaty.

Właśnie, jak brzeżek takiego dukata,
Zagląda w jarze miesiąc przez szczelinę
Skały, co stoi czarna i brodata,
Obrosła, jak jeż, w świerki i jedlinę.

Samotny ognik po bagnisku lata,
Z mokrej kotliny idą pary sine,
Dalej garbate jałowce dwa rosną
I sowy wiodą rozmowę miłosną...

Ale to nie to! Dziś przeszła już moda
Walterskotycznych opisów natury.
Na krajobrazie dziś pisze się: »Woda«,
Albo: »Las dziki« — pisze się, lub »Góry«,
I dość. Niech żyje krótkość i wygoda!
Poco te wszystkie arabskie figury,
Kiedy rzecz każda i tak się pod niemi
Tknąć musi błota, i krwi, i łez ziemi.

I łez... O, te się nakształt wielkiej fali
Wylały na świat za dni naszych biegu.
Łodzie budują i wielcy i mali,
Żeby z tych strasznych wód przybić do brzegu.
Lecz wszyscy zginą, a nikt nie ocali
Głowy i głowie nie znajdzie noclegu,
Dopóki steru nie weźmie na łodzi
Ten, co po morskich wałach cichy chodzi.

On, jak wiatr, prędki pójdzie po tych wodach
I zahamuje wzburzone otchłanie,
I wielki spokój uczyni w narodach,
I ukołysze płacz wieków i łkanie...
Po ludach wionie, jak po białych trzodach,
Które wołają za nim: »Panie! Panie!...«
I pójdą ludy, jak trzody jagnięce,
Gdy pasterz do nich wyciągnie swe ręce.

PIEŚŃ VI.

Poranki całe i całe wieczory
Stał Lucyl we mgłach na podniebiu góry
I złoty kubek, rznięty jak amfory
Greckie, nad głową trzymał między chmury.
Mgły się toczyły i brały kolory
Od świateł nocy i lekkiemi pióry
Szły żeglujące przez ciche niebiosy,
Lecz w kubku było ledwo na dnie rosy.

A kiedy stał tak i złotą wzniósł czarę,
Lub się uniżył klęczącem kolanem,
Zdawał się wielkich tajemnic ofiarę
Sprawować przed tą nocą i przed Panem;
Zdawał się z gwiazd mieć ognistą tyarę,
I uśpionego świata być kapłanem,
I wznosić w niebo rękami drżącemi
Kielich tęsknoty i nędz całej ziemi.

A skalne orły, które tam leciały
Pomiędzy niebem a najwyższym szczytem,
Biciem go skrzydeł i krzykiem witały,
Myśląc, że orzeł wisi pod błękitem.
A strzelec myślał, że to jest duch biały
W gwiazdach, lub cichym rozjaśniony świtem,
I nie śmiał przy nim brać na cel lecące
Giemzy, co pierwej błysły, niźli słońce.

Ale krzew róży, w granity wszczepiony,
Mdlał od pragnienia; słoneczne upały,
Jak złote ptaki, od wschodniej gdzieś strony
Żar trzęsąc z pierza, nad ziemią latały.
Rdzeń życia schnął w nim, i duch go zielony
Rzucił, i stał się jakoby omdlały
I bardzo wiotki; i dni przychodziły,
W których wznieść głosy w niebo nie miał siły.

A wtedy jego jedynym napojem
Łzy były gorzkie, które Lucyl przelał,
Bojując z sobą wielkim ducha bojem.
Krzew po tej rosie nagle w górę strzelał,

I zasilony czarodziejskim zdrojem,
Młodych się pędów majem uweselał,
I świeże liście na koronę winął,
I tem się krzepił, z czego Lucyl ginął.

Nic się w weselu nie tworzy na ziemi
Z tego, co wielkie i co jest pamiętne,
Motyl uśmiechu z skrzydłami złotemi
Omija usta dumne i namiętne.
Duch ku przyszłości idzie, jak Noemi
W sierocych szatach, oczy mając smętne,
A myśl, co wiekom kładzie fundamenta,
Gorzka jest w sobie, a często — przeklęta.

Tymczasem jaru kapryśna królowa
Zmieniała chęci, spojrzenia, humory,
I z głębi lasów szła cała tęczowa
I obwieszona drogimi bisiory.
Przed nią muzyka leciała echowa,
Za nią mgła, w różne przetkana kolory.
I tak z Lucylem szła, jak z swoim paziem,
Związawszy głowę czerwonym fontaziem.

Była to wielce dziwna kawalkata.
Z dziuplów się z krzykiem zrywały puszczyki
I nietoperzy milicja skrzydlata,
Wydając ostry pisk i trzepot dziki.
Z nor wyłaziły jeże, i brodata
Puszcza szumiała, a jasne krwawniki
Wężowych oczu patrzyły za niemi
Z syczących kłębów, co pełzły po ziemi.

I nieraz łowiec, spotkawszy w pustkowiu
Ten orszak, stawał mocno zadumany
I przypominał, że chodzą o nowiu
Dziwaczne mary w lasach i omany.
Potem potrzykroć spluwał, bo na zdrowiu
Zwykł szkodzić oman, znienacka spotkany.
A pstry legawiec, co wietrzył po drodze,
Ogon stuliwszy, szedł, wyjąc przy nodze.

Z rozkoszą Lucyl powracał w swe góry,
By stepy krwawić i kaleczyć dłonie.
On już ukochał swój żywot ponury
I znał te wichry, co biją mu skronie,

I po imieniu ciągnące znał chmury,
I każdą gwiazdę znał, co nad nim płonie,
I tęsknił do nich, kiedy był zdaleka.
Tak ból za serce przykuwa człowieka.

A kiedy wracał tam, tłum kaskad biały
Z szumem okrążać leciał go i witać.
Szklane odruzgi na twarz mu padały
I szklane tęcze za stopy szły chwytać,
I wszystkie góry te i wszystkie skały
W niebo się za nim biedz rwały i pytać...
Przeszedł je, minął i wyniósł się czołem,
I stał nakryty gwiaździstym kościołem.

Tam myśl wypuszczał na wolne przestrzenie
I gorzał ogniem posępnym zapału.
U stóp mu ziemia, jej blaski, jej cienie,
A najwyższego piękno ideału
Gdzieś w nieskończoność porywa mu tchnienie...
I słyszy wielką pieśń, tę pieśń hejnału,
Co dzień wyprzedza, i sam się rozpływa
W pieśni tej, jakby fala głosu żywa.

O któż nie zaznał i kto nie pamięta
Tej cichej duchów tęskniących ekstazy,
Gdy serce drżące, jak struna napięta,
Omdleje, w senne zapadnie obrazy
I w czarodziejskich zmierzchów transparenta,
W jakieś zacisza chłodne i oazy,
Kędy wypocząć może z skwarów życia,
I z męki jego, i z własnego bicia.

O jedno proszę, niechaj mi los zdarzy
Wielką samotność w podobnej godzinie.
Niech żadna z obcych, obojętnych twarzy
Nie widzi, jaki sen przez duszę płynie,
I jakie niebo w tym śnie mi się marzy,
Gdy serce, chorej podobne dziecinie,
Na drogiej piersi cicho usnąć żąda
I za kochaniem swojem się ogląda.

Znam jeden taki zakątek na ziemi,
Gdzieby mi błogą była noc bez świtu.
Brzozy tam płaczą listkami drżącemi,
Białe kolumny na tłach z róż, z błękitu

I z zieloności złotej, a nad niemi
Cisza — ogromny namiot z malachitu,
Po którym rosa perły swe otrąca,
Na zadumane czoła padająca.

Dalej grobelka i staw; ponad stawem
Chłód leśny kąpie wilgotne swe oczy
W świetle, od jodeł odbitem, bladawem,
Co drży na ciemnej, głębokiej przezroczy.
W zorzach tam żóraw pada skrzydłem krwawem,
Kiedy je w łunach zachodu obroczy,
I obmywa je i otrząsa z tęczy,
A potem, we mgłach sinych lecąc, jęczy.

O moje serce, miej ty jeszcze siłę
Bić i nie pęknąć, czuć i nie omdlewać,
Póki nad tobą gałązki pochyłe
Tych brzóz nie zaczną szumów swych rozwiewać.
Bo tam ja sobie obieram mogiłę,
I chcę, by mi ten gaj mógł do snu śpiewać
I cienie swoje rzucać mi na głowę
W miesięczne noce, w poranki majowe.

Kamiennych grobów i wielkich cmentarzy
Bałam się zawsze dla prostej mej trumny.
Straszą mnie ręce lodowe grabarzy
I głośny śmierci luks i napis szumny.
I wiem, że sam Bóg inne groby marzy,
On, co brzóz białych ociosał kolumny
I czarnych świerków... Tu wpadam w herezję
I śmiem posądzać bóstwo o poezję...

Śmiem wierzyć, że Bóg był potężnym wieszczem,
Kiedy wyrzucał z myśli swoich światy,
I trącał lutnię mórz wieczystym dreszczem,
I noc w gwiaździste oblekał makaty,
I objaśniony słońc lecących deszczem,
Z strof granitowych stwarzał poematy,
I w pieśni, która płomieniami bucha,
Pomyślał wielką rzecz — ludzkiego ducha.

Ogromny pomysł tytanicznej miary!
Sam wieszcz tą pieśnią zadziwił się swoją...
A tu już drżały od niej słońc tyary
I gwiazdy, które po błękitach stoją,

Trzymając modrych ogniów pełne czary...
Już o niej wieki senne marzą, roją...
I uczuł pieśniarz tchnienie jej na skroni,
I powstał, lutnię wypuściwszy z dłoni.

Lecz teraz pieśń ta jest trawestowana,
Jak nędzne epos heroikomiczne.
Nad światem pękła jej harmonia szklana
I wielkie rzuty tonów homeryczne.
Kalchas dziś po niej tańcuje kankana,
I menueta wodze polityczne,
A ludy skaczą, jak mucha przebita,
Makabra taniec, lub świętego Wita.

O nędzni, ślepi, o smętni tancerze!
Czekajcie, zaraz wam nastroję lirę...
Parodje duchów, wirujące w sferze
Okropnej, w której czuć jest krew i mirrę...
Czekajcie! już mnie noc na skrzydła bierze,
Śpiewać wam będę śmiertelne *dies irae*...
Bo już pęd czasów słyszę kędyś głuchy,
Co was stratuje, jako pokos suchy...

I widzę zdala wiejące całuny
Ponad ogromną narodów kostnicą...
I widzę stolic palących się łuny,
Widzę ruiny, ziejące ciemnicą...
Was nie zabiją ogniste pioruny,
Ale pod własną zginiecie prawicą,
A samobójczej mogiły ludzkości
Ziemia nie przyjmie i splunie jej kości....

I będą bieleć kości w polu głuchem,
I na rozstajnej bieleć będą drodze,
A żaden prorok nie porwie się duchem,
By na was wołać w żałości i trwodze:
— »O kości białe! ożywcie się ruchem!
Obleczcie skórę, a ja was odrodzę!«
Nie, wam nie stanie głosu Ezechiela,
Coby wywołał z próchn waszych mściciela.

O! jak mi serce omdlało i ręka
Od potrącenia wieku, co olbrzymem
Był w swem poczęciu, a jak glina pęka...
Obrazy cieniem zachodzą i dymem,

Plącze się jękiem urwana piosenka,
Strofa ucieka gorzkim jakimś rymem...
Dość!... Coś mi struny westchnieniami targa,
I zamiast pieśni łzy płyną i skarga.

PIEŚŃ VII.

Szczęśliw ten, komu dały dobre Nieba
U niezmąconych wód gasić pragnienie,
Kto z własnej roli i z czarnego chleba
Mógł brać dla lutni swojej pożywienie.
Szczęśliw trzykrotnie ten, komu nie trzeba
Do pieśni więcej nad czyste sumienie,
I kto tak błogiej zażywać mógł ery,
Że w niej, jak grzyby, rosły bohatery.

Ten o Mussecie nie wiedział, ni nerwach,
Ni o Bajrona fantastycznej muzie.
On śpiewał Bogu na chwałę, a w przerwach
Śpiewał Laurze przy cichej Wokluzie.
Pieśń Olimp cały trzymała w rezerwach,
Albo chodziła w dantejskiej kapuzie,
I w swej głębokiej, płomiennej źrenicy
Miała z Homera coś i coś z orlicy.

Brał wówczas śpiewak swe dzielne heroje
Odrazu z góry za bujną czuprynę
I w pięknym szyku posyłał pod Troję,
Lub inną jako podobną mieścinę.
A patrząc zdala na wielkie ich boje,
Bezpieczny śpiewał Nestora łysinę,
Lub Achillesa, co piętę miał słabą,
Jak każdy wielki człowiek — *teste Strabo.*

A inny znowu na koń sadzał wodze
I damasceńską stal dawał do ręki,
I po krzyżowej na wschód puszczał drodze,
Czary Armidy śpiewając i wdzięki.
A gdy rycerze zmierzyli się srodze,
Cypryjskiem winem łagodził piosenki
I umiał zawsze utrafić do miary
Cios miecza, miłość i pełne puhary.

A kiedy nadto źle było na świecie,
Wieszcz bez paszportu w piekielne szedł kręgi
I tam oglądał, bez grosza w kalecie,
Książąt, papieży i inne potęgi.

Potem powracał, i wszystko — jak wiecie —
Tercyną rzucał, jak bombą, w swe księgi.
Tercyna — strofa kipiąca i harda,
Trójkolorowa poezji kokarda.

Lecz nie tak już się za dni naszych dzieje!
Heine w ojczyźnie ma tylko hofraty.
Na Missolungach swoją epopeję
Dośpiewał Bajron, sztyftując armaty.
Nikt pytać nie śmie, kto w piekle goreje,
A życie — demon szyderczy za katy! —
Gdy śpiewak rękę na lutni opiera,
Ziewa i przez szkła z uśmiechem spoziera.

I patrz! Choć ogniem na niebie wystrzeli
Jasna kometa, i ziemia choć z łona
Płód wielki wydać na świat się ośmieli:
Napoleona albo Waszyngtona, —
Niema rapsodów, coby w cześć im pieli,
I żadna ciżba nie stoi wzruszona,
I już bohater poety nie stwarza —
Tak wiek ten odstał od piersi pieśniarza.

I jeden tylko bard tych smętnych czasów
W ton homeryczny trafił i w pogodę,
A uderzywszy w pierś litewskich lasów,
Dobył zdrój pieśni z niej, jak Mojżesz wodę,
I wśród Europy gwarów i hałasów
Umiał jej nadać helleńską urodę.
W niej raz ostatni przejrzałaś się, Litwo,
I jest ci pieśń ta ostatnią modlitwą.

A teraz nie wiem, kto winien: czy słońce,
Że nie uderza ogniem w pierś Memnona,
Czy Memnon-pieśniarz, że mu struny brzmiące
Pękły wśród bólów kamiennego łona...
I niech to sądzi Ten, co piórek końce
W błękitach trzyma ptaszce, gdy, zwieszona
Nad mogiłami, pieśnią w zorzę bije,
Aż proch się ruszy w grobie i ożyje.

O jedno tylko błagam: niechaj ludzie
Do cichych głosów ucho swe nakłonią,
Niechaj nie wątpią o pieśni tej cudzie,
I niechaj wiedzą, że często jest bronią

Nawet ten uśmiech, podatny ułudzie,
Pod którym myśli, jak węże, się chronią
Pod kwiatem, gibkie i zawsze gotowe
Z syczącem żądłem błyskotną wznieść głowę.

Rzecz zda się błaha i nie warta wzmianki,
Że ktoś tam kiedyś na gór wchodził szczyty,
I dla marzonej w śnie rannym kochanki
Na skale szczepił róż dziwnych błękity,
I nosił w chmurach pełne rosy dzbanki,
I był szafirów kopułą nakryty;
A przecież jest w tem jakaś woń młodości,
Coś, czego człowiek nie śmie, a zazdrości.

Bo nie tak łatwo być z duchów, co stoją
Pod powiewami niebios gdzieś w lazurze,
I nie tak łatwo kruchą marzeń zbroją
Od szturmów życia osłaniać przedmurze
Młodego serca, i być z tych, co poją
Rosą tęsknoty snów błękitne róże,
I co dnia krwawo na skały się wdzierać,
I, we śnie żyjąc, na jawie umierać.

Spróbuj ty iść tam, ty jeden z tysiąca,
Zastygły w formach powszednich żywota,
Ty, o którego skrzydłami nie trąca
Żaden duch, żadna gwiazda, ni tęsknota;
Ty, co nie jesteś jako lutnia drżąca,
Po której biegnie zapału pieśń złota,
Spróbuj ty iść-tam i wichry mieć w włosach,
A serce w burzy mieć, a oczy w rosach...

Spróbuj, co gorsza, powrócić do domu
I pełnić służbę przy Megistelejdzie...
Tego, zaiste, nie życzę nikomu!
Zacny bohater Wergila w Enejdzie
Tyle trosk, przygód, kłopotów i sromu
Przez całe epos, jak długie, nie przejdzie,
Ile zniósł Lucyl co dnia, co godziny,
Dla snu, dla cienia swojej Imaginy.

Zrazu był w jarze nowy ten poddany
Na wyjątkowem tymczasowem prawie.
Megistelejda, w jaskrawe turbany
Strojna, wabiła uśmiechem łaskawie.

Lecz widząc, że jest ciągle zadumany,
Że chodzi jakby lunatyk na jawie,
Że jej cześć zdala oddaje, jak słońcu,
Wzięła sceptr w ręce z rzemieniem na końcu.

Teraz się czasy zaczęły niewoli
Sroższe, niż w onem babilońskiem jeństwie,
Gdzie Żydzi mogli choć płakać dowoli,
Siedząc w dość licznem zresztą pokrewieństwie.
Lecz gdy los cięgi daje *tibi soli,*
Kiedy nikt nie wie o twojem męczeństwie,
Zaprawdę, wielkiej na to trzeba wiary,
Aby się nie zrzec i najmilszej mary.

Cierpiał więc Lucyl; ale serce świeże
Ma w sobie skarby królewskie ufności
I nie tak łatwo zachwieje się w wierze.
Ci, co miłują, są czyści i prości,
Na piersiach noszą z djamentu puklerze
I chodzą pełni blasków i jasności,
A gdyby chcieli, mogliby się bratać
Ze skowronkami i po niebie latać.

PIEŚŃ VIII.

Lecz dziw! Raz we śnie, a była to prawie
Chwila przed burzą, i już się niebiosy
Cichymi błyski otwarły ciekawie,
A ziemia głuche dawała odgłosy —
Zobaczył Lucyl, jakgdyby na jawie,
Że Imagina złociste swe włosy
W czerwony fontaź związała jaskrawy
Z Megistelejdy ostatniej wyprawy.

Zdumiał się. Myślał, że to błyskawica
Tak się na drogiej główce jasna kładzie,
I długo, długo posępna źrenica
Po złotej włosów błądziła kaskadzie;
Nic go nie cieszy, nic go nie zachwyca,
O jednej wstążce myśli, jak o gadzie,
Co się do raju wśliznął zdradną drogą...
Chciałby ją zerwać, zgnieść i zdeptać nogą.

Cały dzień potem chodził zadumany,
Nie śmiejąc szepnąć drogiego imienia;
I wszystkie dawne paliły go rany,
I pustki szukał, jak kruk, i milczenia.
W dniu tym na skale krzew trysnął różany
Młodymi pędy i puścił z korzenia
Odrośle świeże; lecz Lucyl mu strawy
Zwykłej nie podał i w myślach był krwawy.

Noc przyszła. Lucyl czekał jej ze drżeniem.
Mgły na dół spadły i odkryły szczyty,
Wieczorna gwiazda samotnym płomieniem
Jar wyzłacała, tumanem nakryty,
A wody, pchnięte ogromnem brzemieniem
Z gór czuba, były jakby stalaktyty
Zdawna zastygłe, tak je wysrebrzyła
Noc i cichością taką je uśpiła.

Zapatrzonemu w gwiazd jasnych oblicze
Duch się wyskrzydlił i wzleciał nad światy...
Wtem uczuł drgnienie duszy tajemnicze,
I serce mu się otwarło, jak kwiaty,

Kiedy je usta rozetchną dziewicze...
To Imagina!... Jej postać, jej szaty,
Jej... Wielki Boże! Czy wzrok jego kłamie?
Znamię! na lewej skroni czarne znamię!

Na lewej skroni, tu, nad siną żyłką,
Megistelejdy znamię! On pamięta,
On zna je, widział, to nie jest pomyłką...
O gwiazdo! Czemu świecisz! Bądź przeklęta!...
Dech mu się zaparł, a sercem, jak piłką,
Ciskała fala krwi; i pierś ta wzdęta
I udręczona nie czuła pieszczoty
Lubego widma... Tak błysnął świt złoty.

Zerwał się Lucyl i w ogniach biegł cały
W jar, okiem chciwem ścigając królowę.
Siedziała u drzwi i na wątek biały
Rzucała igłą szkarłatów osnowę;
Dwa krwawe żbiki u nóg jej skakały.
Gdy wszedł, podniosła posępną swą głowę,
I ujrzał — niebo niechaj go obroni! —
To samo znamię na tej samej skroni.

O sny! o prawdy! złudzenia! pewniki!
Kto między wami położy granice?
Kto rzuci w chaos i w zamęt wasz dziki
Zbawiającego światła błyskawice?
Gdzie Edyp, który drżące niewolniki
Zbawi od Sfinksa i te tajemnice
Rozwiąże, które pożerają ducha?...
Lecz kogo pytam!... To sam Sfinks mnie słucha.

On jeden, wsparty na wiecznych Teb bramie,
Gorejącemi pogląda oczyma,
Jak myśl się ludzka zrywa, jak się łamie
Z posępnym cieniem mglistego olbrzyma;
On jeden klaszcze tych walk krwawej dramie
I swym aktorom z uśmiechem sam trzyma
Pochodnię, która rzuca blaski krzywe
Na marny zapęd i cięcia fałszywe.

Jak długo dzień ten wlókł się do wieczora,
Nie wiedział Lucyl, gorączką trawiony.
Myśl jego była mętna, dusza chora.
To śmiał się głośno i wołał: »szalony!«

To znów na piersiach siadała mu zmora
I w drżącem sercu topiła swe szpony;
Więc biegł do knieje i w dzikiej gęstwinie,
Jak zwierz raniony, czekał, aż dzień minie.

Minął nareszcie.. Ach! wszystko przemija,
A dzień, co przeszedł, czasu nie zuboży.
Czas — ciemna przędza, którą wieczność zwija
O pierwszej, światom błyskającej zorzy,
Czas — pełzająca przez serc miljon żmija,
Czas — z bożych rabów najstarszy rab boży,
Czas — Cyrenejczyk, co krzyże podpiera,
Jest nieśmiertelny, jak Bóg, choć umiera.

Odłam od niego wiek, jak polip wskrześnie
I nowym wiekiem popełznie przez dzieje;
Bezsennym nocom on śpiewa swe pieśnie,
On zasypuje umarłe Pompeje;
Jak złodziej czuwa, a kiedyś jest we śnie,
Kradnie ci twoją najdroższą nadzieję...
Słyszysz ten głuchy szmer, co ciszę toczy?
To Ahaswerus, to on, to czas kroczy.

Wstąpił na górę Lucyl i tu czekał,
Pojąc swe serce myślami gorzkiemi,
Lecz snu ptak cichy od niego uciekał...
Więc na mchy upadł i prosił się ziemi
O rosę ustom, bo żar je przypiekał.
A niebo nad nim rozbłysło sinemi
Gwiazdy; więc wbił w nie źrenice płonące,
I tak bezsennym zastało go słońce.

Już jary pieśnią witały poranek,
Gdy w górach jeszcze wielka cisza była.
Na szczytach spały mgły, jak biały wianek,
Niżej się puszcza w tumanach budziła,
A dnia młodego wzniesiony kaganek,
Który u słońca jutrzenka zatliła,
Zmienił granity w alabastr różowy
I złote hełmy dał świerkom na głowy.

Chwiejąc się, powstał Lucyl i w niebiosy
Patrzał za rąbkiem znikającej nocy.
Pierwszy raz uczuł chłód porannej rosy,
Pierwszy raz z góry zstąpić nie miał mocy.

I zdało mu się, iż słyszy gdzieś głosy,
Urągające tej jego niemocy.
I tem się dręczył — o nędzo istnienia! —
Że ni fontazia nie śnił, ni znamienia.

Nagle się w ciszy podniosła wrzaskliwa
Muzyka rogu; to jaru królowa
Podwładne sobie żywioły przyzywa.
Leci pobudka złowieszcza, echowa...
Wnet czarnym żaglem mrok gęsty nadpływa,
I gasi słońce i w chusty je chowa,
I tylko nikły promyczek nad skały
Jako opłatek przebija się biały.

Potem plusk łodzi powietrznej się wzmoże,
Pod arkadami płynącej tumanów,
I tchów wilgotnych rozlewa się morze,
Walą się chmury, jak piany bałwanów,
Stopy gór giną, jakgdyby w jeziorze
Par mętnych, brudnych; a z mgły tej łachmanów
Idące w górę półnagie ich szczyty
Dymią, jak kocioł czarownic odkryty.

Nad ziemią ciemność zawisła i nuda,
Jak ołowiany dach weneckiej kaźni
Nad celą więźnia. Czasem łuna ruda
Rzuci się z za chmur i oko podraźni;
Puszcza się we mgłach kiwa, jak Jehuda
Ów, Ben-Halevy, gdy, płacząc z bojaźni
Przed Panem, cały z głową się nakrywał
Śmiertelną płachtą i Dodaim śpiewał.

Dzień przeszedł chmurny, długi, ni minuty
Nie przepuściwszy z swojego obiegu.
Jak Prometeusz, do skały przykuty,
Stał Lucyl wpośród mgły ciągnącej śniegu.
Turnie buchały dymem, jak reduty,
A dzika koza, szukając noclegu,
W tych mgłach go w pędzie piersiami trąciła,
Myśląc, że kamień jest i skalna bryła.

Lecz noc, co przyszła z zakrytem obliczem,
Snu nie przyniosła mu, ani widzenia;
I tylko cienie wojskiem tajemniczem
Opełzły groty skalne i sklepienia.

A wiatr przeganiał świszczącym swym biczem
Kłęby mgły gęstej wśród lasów jęczenia.
I była noc ta tak długa i czarna,
Jakby dzień wypleć chciała aż do ziarna.

Złamany, ciężki i troską przybity,
Powlókł się brzaskiem Lucyl w ciemne bory,
By ujść przed okiem słońca, co na szczyty
Rzuciło pierwsze blaski i kolory;
I tam się zwinął, jak wąż, i nakryty
Czarnością jodeł przetrwał aż do pory,
Gdy na porożu jeleń w tę samotę
Zórz przedzachodnich wniósł cichą pozłotę.

Podniósł się wtedy i myślał: Cóż znaczy
Jedna zawiązka dla szczęścia człowieka?
I któż się gorzkiej oddaje rozpaczy
Dla jednej chmurki, co lazur przecieka?
Znamię... cóż znamię? O, niech ją zobaczy!
Niech ją zobaczy choć tak, choć zdaleka! —
I szedł ku szczytom za gasnącem słońcem,
Z nadzieją szczęścia i sercem bijącem.

Nadzieja szczęścia! Oto są dwa słowa,
Zdziwione, że je kładę obok siebie.
O ziemio! jakabyś ty była zdrowa
Po swoim czarnym i ościstym chlebie,
Jaka spokojna byłaby twa głowa
O wszystkie znaki pod niebem i w niebie,
Gdyby, jak burza duchów i zawieja,
Nie przeszła kiedyś po tobie — nadzieja!

Wnet się zbudziły marzenia i żądze,
Przyszłość zaczęła obciążać dni twoje;
Zmyślono sławę, bankowe pieniądze,
Posagi, weksle, prospekty, podboje,
Zaczęto jutra odbijać wrzeciądze,
Miano nadzieję przełożyć twe słoje,
Rozwiązać koła twego kwadraturę
I jeszcze inne nadzieje niektóre.

Ha! że zawiodły — nie ich to jest grzechem.
Naprzód, a naprzód!... I jam jest z tej rzeszy,
Co z podwojonym od biegu oddechem
Ku brzaskom jutra podąża i śpieszy.

A Ten, co na świat pogląda z uśmiechem,
Więcej, zaprawdę, z nas głupich się cieszy,
Niźli z tych mędrców, co zrzec się umieją
Znikomej gwiazdki, nazwanej nadzieją.

Śpieszył więc Lucyl i gorzał sam w sobie.
A ta, co za nim leciała, kaskada
Wie, w jak dziwacznym i smętnym sposobie
Tęskniący człowiek ze sobą sam gada,
Jak w ciemność patrzy i wyciąga obie
Ręce, i piersią na głaz twardy pada,
I jak przyciska gorejącą głowę
Do tych granitów, co milczą surowe.

PIEŚŃ IX.

Wszedł nów. I wnet się wśród nikłej jasności
Zaczęły gonić po gór szczytach duchy,
Których noc oczom słonecznym zazdrości.
Wnet lekkich szmerów wiatrzane podmuchy,
Pełne harf smętnych, i ech, i żałości,
Niosły się, w śmiechu wpadając wybuchy;
I tak się mary rozwiały leciuchne,
O których pisać nie śmiem, bo je zdmuchnę.

A zresztą myślę, że nawet Kartuzy
Znają te złudy półsnu i półjawy,
Co bez pardonu i żadnej ekskuzy
W rej cię chwytają, choć jesteś kulawy.
I wcale trudzić nie myślę mej muzy
Bliższym opisem; a kto z was ciekawy,
Niechaj tych bosych pastuszków zapyta,
Co w górach stada strzegą, nim zaświta.

Każdy na pamięć zna wszystkie te dziwy,
Ze mgły uwiane i z blasków księżyca,
I jak poeta opowie prawdziwy
Królewny dzieje, albo królewica;
Każdy na oklep, trzymając się grzywy,
Jak na Arkadji przystało dziedzica,
Pegaza dosiąść umie, co tymczasem
Tymiany skubie i parska pod lasem.

A jeździec w chwili, kiedy ja to piszę,
Pod czarodziejską lampą Aladyna
Leżąc na trawie, wsłuchuje się w ciszę
I razem z ciszą tą śpiewać zaczyna...
Nad nim się wierzba płacząca kołysze,
Wierzba, co kocha pastuszka, jak syna,
Co wychowała go w te noce letnie,
Pieśni mu szepcząc i strojąc mu fletnie.

O wiosko! ziemio, pieśniami płynąca,
Jak mlekiem, którem karmisz swoje dzieci!
Pod srebrnym kręgiem twojego miesiąca
Brzęczy rój pszczelny Piastowych stuleci,

A w lirę twoich gwiazd wiatr smętny trąca
I budzi orła, co w zórz czerwień leci;
Króle twych bajek wdziewają purpury
I berła biorą, nim zapieją kury.

Wtenczas się budzisz, służebnico cicha,
Schylona z sierpem na czarnym zagonie.
Za płaszcz królewski — siermięga ci licha,
Zamiast korony — pot znoju na skronie;
Idziesz, a w piersi pieśń niesiesz, co wzdycha
I w zgasłych echach przedwiekowych tonie;
A choć przeszłości nie jesteś pamiętna,
Pieśń twoja płacze za czemś i jest smętna.

Już w zmierzch szły gwiazdy i jak perły sine
Wsiąkały w szafir, co topniał na wschodzie,
A lekkich duszków rozwiewną drużynę
Świt blizki płoszył w ich nocnej gospodzie.
Więc nikły, w skalną padając szczelinę,
Jak cień, to mgłą się unosząc po wodzie,
To kryjąc główki w mech miękki, to wiankiem
Lecąc, jak obłok, spłoniony porankiem.

I nagle jasna tych dziwów królowa
Błysnęła oczom stęsknionym młodzieńca
Wśród pierwszych brzasków; szła cicha, surowa
I wybielona rosą, a z jej wieńca
Tryskała w górę jutrzenka różowa
I na twarz łunę rzucała rumieńca.
Nigdy jej Lucyl nie widział tak piękną,
Więc czekał, aż te góry przed nią klękną.

Czemuż oglądać ma ją tylko we śnie?
Czemu dni całe ma konać z tęsknoty
I czekać, aż mu nocą serce wskrześnie?
I drżeć o każdą chwilkę jej pieszczoty?
Czemu?... Wtem spojrzał i krzyknął boleśnie,
Na twarz mu zimne rzuciły się poty:
Najdroższe widmo — wątpienia już niema —
Megistelejdy patrzało oczyma.

Tak nurek, kiedy obok perły na dnie
Zobaczy krwawą źrenicę rekina,
W dziwny zmierzch jakiś myślami upadnie,
O drżącej nad nim linie zapomina,

Ale na fali chłodnej ręce kładnie,
Przymyka oczy i tonąć zaczyna,
I zanim potwór źrenicą poruszy,
On, jak stał żywy, tak stoi bez duszy.

Oczy! jej oczy! Raczej wszystko inne
Stracić, niźli te oczy, niż te słońca!
O! jakie czyste były i niewinne,
Kiedy patrzyła niemi dumająca,
Jakie pogodne, a jakie dziecinne,
Gdy się tuliła stęskniona i drżąca,
Jakie głębokie były i namiętne,
Te drogie oczy jego, gwiazdy smętne!

Więc już zagasły!... Więc już nigdy w życiu!
Nigdy, już nigdy!... I jak stał, tak twarzą
Upadł na ziemię i jęczał w ukryciu.
A potem powstał i, jak ci, co marzą,
Wpół nieprzytomny poszedł w niemem śniciu.
A te, co nad nim w jutrzenkach się ważą,
Pełne perłowych ros poranne chmury
Zadumały się, gdy tak precz szedł w góry.

Tak idzie człowiek, który na swej drodze
Wszystko porzuca i wszystko utraca.
On kroczyć daje wpółmartwo swej nodze
I blade czoło za siebie obraca.
Obłok znikomy i wiatr mu za wodze,
Jak błędny ognik, idzie a powraca,
I otwartemi szeroko oczyma
Nie widzi tego nawet, co go trzyma.

Tak idą chwile, i tak idą wieki,
I beznadziejne całe pokolenia...
Tak ja odejdę w kraj jakiś daleki
Stracić się we mgle i w pomroce cienia.
Za wichrem pójdę a za szumem rzeki,
A nie zostawię tutaj i wspomnienia.
I ślad za sobą zatracę w przestworze
Jak ptak, co leci na wyraj, za morze...

Tylko się za mną obejrzą te łany,
Gdzie czarnym chlebem szumią nasze żyta
I las obróci swój wzrok zadumany
I o pątnicę smętną się zapyta.

Tylko się za mną obejrzą kurhany,
Gdzie gorzkie ziele żałości zakwita,
I skowronkowe pieśni mnie zapłaczą,
Widząc, jak cicho idę a tułaczo...

Ludzie... cóż ludzie? Nigdym ja nie była
Z tych, co się cisną między ludzką wrzawę;
Jakaś mnie przepaść od świata dzieliła,
Tłum we mnie wstręty budził i obawę.
A jeślim czyje serce tem zraniła,
Niech mi przebaczy, bo stopy mam krwawe,
I niosę ciężki krzyż po mojej drodze,
I jak cień mijam, a jak pył przechodzę...

O, drodzy zdala, lecz zblizka natrętni!
Nie mogę życia na pastwę wam rzucić.
Możem za dumna, może wy zbyt chętni
Na nitce skakać, jak wróble, i nucić;
Jest w was coś, czuję, co mi duszę smętni
I każe głowę od was precz odwrócić
I skłonić czoło w zawstydzeniu drżącem
Przed tem, co skokom waszym świeci, słońcem.



Nie przeto jednak potępiać was trzeba.
Jesteście w swojem prawie, dobrzy ludzie!
Moja to wina, że gwiazdy chcę z nieba,
Że mi się marzy nocami o cudzie
Rozłamanego między rzesze chleba
Potężnych uczuć i myśli; że nudzie
Oprzeć się jakoś nie mogę, Bóg świadkiem,
Kiedy mnie ciżba pochwyci przypadkiem.

Każdy zosobna ma wielkie przymioty:
Nawet ten radca z tuszą gospodarną
I dama z piórem. Lecz gdy całe roty
Dam tych i radców nagle cię ogarną
I wezmą ciebie w czczości swej obroty,
Wtedy w pień przeklniesz dolę swoją czarną
I uznasz, bracie, że z człowieczej dumy
Nic tak nie leczy dzielnie, jak te tłumy.

Niech je zachowa Bóg od wszelkiej szkody!
Każdy z nas idzie w własną swoją drogę.
Ja czasem latam na piórach swobody,
Lecz złego życzyć im — nie, nie, nie mogę!

To są brylanty czyste pierwszej wody.
I nieraz, nieraz nawet czuję trwogę,
Czy się nie znajdzie czasem jaki głupi,
Co je do skarbców narodowych kupi.

O! gdyby nie wy, proste, wierne dusze,
Które znalazłam, jak się skarb znajduje,
Cobym robiła w świata zawierusze,
Gdzie ten największy, kto najdalej pluje?
Gdy o was myślę, to się sercem kruszę,
I wielkiem ludzi kochaniem przejmuję,
I wiem już, za czem odwrócę tu głowę,
Odchodząc w kraje ciche i zmierzchowe.

PIEŚŃ X.

Czuł Lucyl, jak mu serce drży i pęka
W tem pierwszem pchnięciu śmiertelnej boleści;
I był jak człowiek, co się myśleć lęka,
Żeby nie odgadł okropnej powieści,
Którą wpół losu odsłania mu ręka.
Szedł prózen woli, i myśli, i treści,
I jedną tylko rzecz widział przed sobą:
Wielki i pusty świat, skryty żałobą.

To, co utracił, — wszystkiem mu dziś było;
To, co zachował, — niknęło w zamroczu.
I zdało mu się, że tę swoją miłą
Dla utraconych kochał tylko oczu,
Że z nich szło wszystko, co mu było siłą,
Że mógł oddychać tylko w ich przezroczu,
I że Bóg zamknął w tych dwu gwiazd odbiciu
Wszystko, co drogie i co święte w życiu.

Na co mu teraz ta służba i praca?
Na co tułacza młodość? Na co znoje?
Oto się słońce na zachód obraca
I w morzu idzie gasić ognie swoje...
O, niechby droga, z której nikt nie wraca!
O, niechby chłody jasne i spokoje!
O, niechby cisza, gdzie się nic nie słyszy,
Nic, nawet szeptu niemego tej ciszy!

Nie wierz, kto mówi, że nie mógłby wyżyć
Bez tej, którą już posiadł, szczęścia miary.
O, serce ludzkie umie lot swój zniżyć!
Kto pragnie, pije z najuboższej czary,
A gdy głodnemu okruchy przybliżyć,
Za wielkie je ma i królewskie dary,
A komu dola, jak śnieg, w ręku taje,
Kroplą się mętów cieszy, co zostaje.

Kompromis z losem... o, stara to droga!
Prawie tak stara, jak sam ród człowieczy.
Nie skonał Adam u rajskiego proga,
Lecz pługi ciesze i ręce kaleczy.

Na dumną rozpacz ludzkość za uboga!
Wzięto nam tyle i tak drogich rzeczy,
O których każdy mówił: nie przeżyjem!
Przecież się rodzim, jemy, nawet tyjem.

A jednak — jednak i tu są granice.
I jeśli człowiek ma wytrzymać życie,
Jak most lecącą do szturmu konnicę, —
Kruszynę szczęścia musi mieć choć skrycie,
Jako śmiertelnych grzechów tajemnicę;
Musi nią karmić serca swego bicie,
Musi choć jeden promyk ideału
Unieść z rozbicia, lub zginąć wśród szału.

Jeszcze nad jarem wieczorne pacierze
Ten powiew szeptał, co leci od morza,
Jeszcze tchy biły wonią́ce i świeże
Z ziół, które w górach sieje ręka boża,
Jeszcze obłoki ciągnęły na leże,
Dla miesięcznego plac czyniąc dwuroża,
Gdy Lucyl, prawie nie wiedząc, co czyni,
Znowu się błąkał po skalnej pustyni.

On szedł po szczęścia swego nędzną miarę,
Jak żebrak, który, wygnany od proga,
Znowu się wraca na miejsce swe stare
I o grosz jeden błaga w imię Boga.
Szedł, bo mu pilno przyśnić lubą marę,
Szedł, bo dla niego ta jedna już droga,
Bo jego stopy tu same go niosą,
Gdy wieczór błyśnie gwiazdami i rosą.

Mijały ranki i noce schodziły,
A Lucyl każdej czekał z nowem drżeniem.
Jakieś potężne i tajemne siły
Między nim stały a najdroższym cieniem.
Coraz smętniejszy stawał cień ów miły
I coraz bardziej pod jego spojrzeniem
Podobny do tej, którą nazwać słowy
Lękał się, wiedźmy jaru i królowy.

Czyś widział kiedy, jak z jasnym potokiem
Zatrute męty mieszają swe jady?
Czyś widział kiedy przerażonem okiem,
Jak widmo śmierci rzuca cień swój blady

Na drogie lica? Jak czarnym obłokiem
Plam dżuma znaczy złowrogie swe ślady,
Sunące coraz dalej, jak gadziny?
Tak się zmieniała postać Imaginy.

Dziś wstążka, znamię, a jutro spojrzenie,
A potem ręki ruch, albo ruch głowy,
Potem nieznaczne przy ust pąku cienie,
Wyraz oblicza zagasły, surowy,
Jedno nic jakby, jedno rysów drgnienie,
Jeden rzut oka, jeden uśmiech nowy,
Wszystko ją razem i wszystko osobno
Megistelejdzie czyniło podobną.

I dziw! najdłużej przetrwały jej szaty.
Była to jeszcze ta sama zasłona
Dziewiczej bieli, przetkana w róż kwiaty,
Która jej głowę kryła i ramiona.
Stracił już tyle, że mógłby tej straty
Nie liczyć. Przecież, jak nędzarz, co kona,
A resztek życia z rozpaczą się trzyma,
Tak do tej szaty lgnął Lucyl oczyma.

Przyszło do tego, że gdy szedł gór stokiem,
Do róż alpejskich uśmiechał się cichy,
I rozmarzony patrzył za obłokiem,
Iż był tak biały, jak ów szmatek lichy.
Och, mógł już teraz żyć korzonków sokiem,
Jako pustelnik; już pozbył się pychy
Serca, co granic pożądań swych nie zna,
A bicia swego nie pęta, nie kiełzna.

Stał się pokorny, zmyślny; mógł się trwożyć
Całymi dniami o leciuchne owe
Gazy; i umiał myślami otworzyć
Róże, co na nich rozkwitły majowe;
Mógł, jak pies, doli u nóg się położyć,
I w proch uniżyć młodzieńczą swą głowę,
I błagać, by mu tylko zostawiono
Ten cień, choć tak, jak jest, za tą zasłoną.

Ale i tego brakło. Czarne chusty
Megistelejdy całą postać skryły.
Lucyl się wpatrzył, lecz niememi usty
Wnętrznego krzyku wydać nie miał siły.

Jęk tylko jakiś bezdźwięczny i pusty
Wyszedł mu z piersi, jak odgłos z mogiły,
W której z wszystkiego, co serce twe kocha,
Nic nie zostało... nic, nic... nawet procha.

Mylę się. Głos jej pozostał mu jeszcze,
Zostały dźwięki lube i niezmienne;
Głos, co mu w piersi rzucał nagłe dreszcze,
I nagłe żary, i fale płomienne;
Głos srebrny, jako te majowe deszcze,
Co idą w polach budzić kwiaty senne;
Głos, co go zbudził owego zarania
Do męki życia i męki kochania.

Więc jeszcze bardziej uniżył się duchem,
I oczu własnych wyrzekł się anioła,
I czuć i myśleć zaczął tylko słuchem,
A tak się sercem w głos ten wpił, jak pszczoła
W liljowy dzwonek, gdy nad polem głuchem
Pierwszy dzień wiosny w dąbrowie obwoła.
I smutne oczy zakrywał rękami
I słuchał, jak go ten głos szczęściem mami.

Więc tak siadywał, jak ptak oślepiony,
Co śni o wiośnie, której nie obaczy,
A do wesołej piosnki bierze tony
Z serca, pełnego bólu i rozpaczy.
Ponad nim szumiał las sosen zielony,
I wiatr nad głową mu szumiał tułaczy,
Lecz on nie słyszał nic, tylko jedyny
Głos w świecie całym, ten głos Imaginy.

A gdy mu wszystko szło tak już w rozbicie
I w jakąś wielką nicość i w stracenie,
Jak pająk ściągnął serca swego nicie
W jedno włókienko i, skrywszy się w cienie,
Na tem włókienku zawiesił swe życie,
I wszystkie ducha swojego promienie
Wytężył, wyskrzył przeciw smutku chmurze,
By w tę niteczkę rzucić tęczy róże.

Lecz im się dłużej karmił wspomnień strawą,
Tem się stawały niklejsze i bledsze.
Zrazu mu były dniem jasnym i jawą,
Potem się zmierzchem rozwiały w powietrze,

Aż wreszcie jakąś wielką, mglistą nawą
Płynąc, rzuciły brzeg i w cichym wietrze
W kraj się daleki niosły i nieznany,
Gorzkie za sobą odrzucając piany.

Tak kiedy szczęście i miłość odchodzi,
Duch się sam gubi w coraz dalszej dali,
A nikt tej cichej i powietrznej łodzi
Nie zwróci z czasów niezmierzonej fali.
Płynie, a nad nią noc czarna zachodzi,
Noc, co się żadną gwiazdą nie rozpali
I żadnej zorzy świtem nie rozżarzy
Dla tych milczących, posępnych żeglarzy.

O wielkie czasu, o bezbrzeżne morze!
Gorzkie i słone są od łez twe wody.
Ty jako pianę wyrzucasz w przestworze
Z głębin swych wieki, dzieje i narody.
Pod wielką idziesz i nieznaną zorzę,
A twoje jasne, obojętne chłody
Z niepowstrzymaną i fatalną siłą
Unoszą w otchłań wszystko, co już było.

Było — to klątwa tego, co zakwita,
Co się dziś rodzi, co jest i co będzie.
Nad kolebkami jak dzwon głuchy zgrzyta,
Pada na gwiazdek puchowych krawędzie,
W pąkach się wiosny tai, a gdy świta,
Z róż jutrzenkowych wieczorny zmierzch przę-
I w pocałunki zapomnienie sączy, [dzie,
I każdy okrzyk życia ciszą kończy.

Było. — Więc dosyć! więc dalej! więc z drogi!
Sto słońc, sto światów drży w łonie przyrody;
Chcą być, chcą kochać, chcą nowe mieć bogi
I z nowych kwiatów życia brać swe miody.
Gwiazdy, zsypane na błękitach w stogi,
Pieśni, uśpione w lirach, białe trzody
Fal, w mgłach zaklęte, co chcą iść na paszę,
Nienarodzone ludy, jajko ptasze —

Wszystko prze, woła, ciśnie się i kłębi
Przez progi życia, jak wrzątek kipiące,
A nim się w formy stęgnie i oziębi,
Już nowe nowym światom wschodzi słońce.

Wieki i chwile, jak stado gołębi
Spłoszonych, lecą, skrzydłami bijące,
I zapadają w zmierzchy bez świtania
Wszystkie twe bóle i wszystkie kochania...

Daremno stoję na brzegu! daremno
Ręce za szczęściem wyciągam niknącem...
Poszło — i nigdy nie będzie już ze mną,
Ani mi wzejdzie kwiatem, ani słońcem.
Jak ptak mi drogą odleciało ciemną
Przed dnia zachodem i przed życia końcem,
I już mi nigdy, nigdy nie powróci,
I nie uderzy w skrzydła, nie zanuci!...

PIEŚŃ XI.

Jesień już była. Na górach się kładły
Mgły coraz gęstszym i cięższym tumanem.
Tęczowe kaskad śnieżyce pobladły,
Potoki łonem szumiały wezbranem.
Nad górskich jezior cichemi zwierciadły
Łanie stawały z okiem zadumanem,
A złotym liściem przerzucone bory
Purpurę jasną brały i kolory.

Na jug ciągnęło ptastwo. Wczesnym świtem
Widać ich klucze, łańcuchy i sznury,
Jak wojskiem karnem i z drogą obytem
Za słońcem lot swój biorą poprzez góry.
Nad niemi jastrząb, wisząc skrzydłem, wbitem
W cichość lazurów, najeżył się pióry
I oba szpony wytknął bursztynowe
W słowicze roty, w legie skowronkowe.

Lecz nie on jeden tylko był tu łowcem,
I na śpiewacze czatował drużyny:
Megistelejda pod czarnym jałowcem
Co ranka nieci dym ostry i siny,
Co ranka szlakiem każdym i manowcem
Sidła zakłada misterne z wikliny,
I pod wiatr sieci rozstawia i zdradnie
Czyha, aż chmura ptasząt w nie zapadnie.

Królowa martwej nie pragnie zdobyczy.
Jeńce chce tylko mieć i żywe łupy,
Za które potem u wiosny policzy
Drogie opłaty i wielkie okupy.
Wie, że za każdy gardziołek słowiczy
Wiosna graniczne posunie jej słupy,
I że się państwo najdzielniej rozszerzy
Mocą traktatów wielkich i przymierzy.

Wie zwłaszcza jaru podstępna królowa,
Jak bardzo wiośnie o skowronki chodzi.
Póki skowronek nie śpiewa, dąbrowa
Jednego listka ni trawki nie zrodzi,

Słońce nie grzeje, a chmura lodowa
Po niebie, jak po własnym domu, chodzi,
I pługi w skibę żelazem nie webrną,
Aż oracz piosnkę tę posłyszy srebrną.

Więc za skowronki szedł okup wysoki,
I wielkie skarby nieraz przynosiły
Te wyzwoleńce, gdy w błękit szeroki
Żywą fontanną pióreczek się wzbiły.
I nieraz trzy dni musiały obłoki
Złotym dżdżem padać, a potem pochyły
Megistelejdy dach pobijać tęczą,
Jak siedmiokrasek cudowną obręczą.

Słowiki zato w mniejszej były cenie.
— Cóż słowik? — pani mawiała majowa —
Gdy róże kwitną, takie serc jest drżenie,
I taka w piersiach muzyka echowa,
I takie biją na usta płomienie,
Takie miłosne szepty, takie słowa,
Że dość człowieka tknąć kwiatu pręcikiem,
A każdy wtedy być może słowikiem.

Ale skowronek — rzecz inna. On śpiewa
Na czarne lasy jeszcze i na szrony,
On pierwszy budzi ze snów długich drzewa
I z pod kamyczka, jak procą rzucony
Leci, a za nim puszcza się ulewa,
Po której cały świat wstaje zielony,
I pierwiosnkami pachnący i rosą,
I z chat wabiący pastuszków czerń bosą.

Więc jużby można obejść się na ziemi
Bez wielu rzeczy, ale nie bez pieśni,
Tak długo zima pierś ludzką oniemi
I tacy ludzie stają się cieleśni;
I gdyby nie to, że ptaszek ich swemi
Skrzydły omuśnie z tych prochów i pleśni,
Niktby i głowy nie podniósł do góry,
Gdy słońce wstaje nad starych dni chmury.

Tak posłom swoim tłómaczy łaskawie
Piękna władczyni swe myśli i wolę,
Gdy po ptaszęta, zgubione w przeprawie,
Podmuchy ciepłe wysyła na pole.

Więc stawał traktat w swej mocy i prawie,
A jeńcy tłumem rzucali niewolę.
Z pieśnią leciała gromada radosna,
A ludzie wtedy mówili: »Już wiosna!«

I jedna tylko na całej tej ziemi
Była kraina tak senna i smętna,
Że jej skowronki pieśniami swojemi
Zbudzić nie mogły, i już na niej piętna
Śmierci wybiły plamami trupiemi
Od tych letargów, i już ją pleśń wstrętna,
Obca opełzła od serca do głowy,
Tak sen jej ciężki był i tak grobowy.

Lecz błagam, niech mnie nikt z ludzi nie pyta
O smętną ziemię tę i o jej miano,
Bo jakiś wielki jęk pieśń moją chwyta,
Po onych polach uśpionych rozwianą,
I płaczem leci pieśń po łanach żyta,
Bo jest mi ziemia ta umiłowaną
I wszystko moje tam — do serca bicia...
Przecież nie mogę zbudzić jej do życia!

O! więc mi dajcie tę lutnię, co płacze
Nad Jeruzalem zgubioną dziedziną!
Kij niechaj wezmę i szaty żebracze,
A idę, kędy rzeki smutków płyną...
Niechaj nade mną kruk leci a kracze,
Bo dni nie przejdą i noce nie miną,
A ci, co głowy na długie sny wsparli,
W cienie liczeni będą, jak umarli.

I czas przeleci po nich w wielkim pędzie
I o pośnięte nie zapyta one,
I przyjdą wieki, sądzące jak sędzie,
I te je liczyć będą za stracone.
A gdy dzień Pański rozedni się wszędzie,
Nad niemi będzie stać słońce zgaszone,
I zejdą w zmierzchy, iż się w brzasku chwili
Ze snów nikczemnych swych nie przebudzili.

O! więc mi dajcie tę lutnię, co jęczy
Nad spustoszeniem wielkiego Syonu!
Niech, jak Jeremiasz, w włosianej obręczy
Na biodrach idę, a głos mój, głos dzwonu,

Niechaj ich ściga, a niechaj ich dręczy,
Aż ich z letargu przebudzi i skonu...
Niech jak grom dach im nad głową zapali,
A niech ich zmusi, by żyli, by wstali!

PIEŚŃ XII.

Cisza. W powietrzu drobne lirki dzwonią
Ptaszęcych głosów i ptaszęcych skrzydeł.
Megistelejda, zakrywszy żar dłonią,
Podnieca dymy i poprawia sideł,
A śledzi, czy tu lotów swych nie skłonią
Śpiewacze rzesze, i różnych mamideł
Przydaje sieci, co matnie rozszerza,
Do rybaczego podobna więcierza.

Megistelejda tej zwłaszcza jesieni
Srodze zawzięta jest na ptasze rody,
I naprzód liczy, jak drogo oceni
Najmniejsze szare pióreczko swobody,
Jak jej opłacą śpiewacy natchnieni
Powrót nad niwy swoje i nad wody,
I jakie skarby zbierze sobie za te
Dzwoneczki lotne i duszki skrzydlate.

Różnych bo dziwów potrzeba jej wiele.
Suchego grzmotu na jajka wężowe,
Dwa szczerozłote potrzebne jej trzmiele,
Któreby roje wodziły miodowe,
Pokrzyku trzeba; cudowne to ziele
Ma korzeń, jakby ludzką twarz i głowę
I brodę, długim porośniętą włosem,
A gdy je kopać — krzyczy ludzkim głosem.

I patrz! Zaledwie spojrzenie płonące
Zwróciła w górę, gdy ptasząt huf zbity,
Jak obłok, lecąc z trzepotem pod słońce,
Spadł i zawisnął, sieciami nakryty.
Z wielką się wrzawą rzuciły obrońce,
I głośny lament uderzył w błękity,
Lecz mimo wszystkie wysiłki rozpaczy
W jeństwo się dostał ród cały śpiewaczy.

Były to same skowronki... Pieśń żywa,
Chwycona w locie do życia i blasku.
Megistelejda promienna, szczęśliwa,
Wśród śmiertelnego trzepotu i wrzasku

Jeńcom swym piórka ze skrzydeł wyrywa,
A potem puszcza bijące się w piasku...
Wie straszna wiedźma, że już się nie ruszy
Ten, komu z lotem zabrano pół duszy.

A zaś wiatr przypadł i rozmiótł po ziemi
Te szare, smętne żagielki, co niosły
Nad zagonami, nad chaty czarnemi
Nowego chleba i nowych zórz posły;
A już nad lasem zmierzchami mrocznemi
Ciągnęły tucze i chmury już rosły,
A niebo wielkim nakryło się cieniem,
A świat się ciszą odział i milczeniem.

Żórawie tylko zostały nad jarem,
Jęcząc i gubiąc w locie pióra śniade;
Aż raz, w powietrzu ważące się szarem,
Obniosły wielkie wici i naradę;
Potem się zbiły w klin ponad moczarem,
I ostrym końcem lecąc w słońce blade,
Ciężkiemi skrzydły ich huf zaszeleścił
I anabazis powszechną obwieścił.

Stał Lucyl, patrząc na lotne te chmury,
Które go tutaj samotnym rzucały,
Wbiwszy wzrok ciemnym płomieniem ponury
W ostatniej zorzy skrzydlate hejnały;
Potem krok ważny wziął pomiędzy góry,
A długi jego cień upadł na skały.
Tak idąc, tęsknem obracał się uchem
Za tym jęczącym w oddali łańcuchem.

Od owej pory i od owej chwili,
Kiedy tu przybył, jak się świat odmienił!
Puhar rozkoszy, który życie chyli,
Już mu się w ręku nie iskrzył, nie pienił...
Już mu nad czołem rój marzeń motyli
Nie oblatywał... już mu nie rumienił
Kwiat swoich pąków, aby się ze słońcem
Na jego sercu przebudzić bijącem.

Jak wszystko teraz inne, jakie chmurne,
Jak ciche, jakie ku smutku skłonione!
Duch ziemi bierze skrzydła lżejsze, górne,
I z gwiazd stygnących ma smętną koronę.

A serce, w białą przemienione urnę,
Zamyka wspomnień popioły spalone
Tym tchem ognistym, którym samo w sobie
Gorzało w jasnej i majowej dobie.

Jak wszystko inne! On sam — któżby zmierzył
Tę drogę, jaką serce przebyć może!
Świat się w nim nowy utworzył, rozszerzył,
Myśl się o gwiazdy oparła gdzieś boże,
Duch mu się z ciszą pokornie sprzymierzył
I w nieskończoność szedł, jak w wielkie morze,
I coraz rzadziej na świat się obracał,
I coraz więcej sam z siebie zatracał.

I jedno tylko przy życiu go trzyma,
I jedno wabi, i jedno go nęci:
Ten głos najdroższy, co jakby oczyma
Sięga mu w duszę, i cieszy i smęci...
Co serce z żółci i łez mu wyżyma,
I wszystkie serca otwiera pieczęci,
I świat mu dawny przed pamięcią stawia,
I błogosławi, i kocha, i zbawia.

Lecz jako harfa, gdy ją śpiewak niesie,
A idąc nuci piosenkę rozstania,
I jako słowik, gdy lecąc po lesie,
Ciszej a ciszej w oddali podzwania,
Tak ton po tonie głos drogi ten rwie się
I, od zarania cichszy do zarania,
Coraz się słabszym podsyca oddechem,
I już westchnieniem jest, już tylko echem...

I raz, a była to noc wielkiej ciszy —
Nie zawsze w gromach przychodzi nieszczęście —
Słuchając, Lucyl głos wiedźmy posłyszy...
Zerwał się, jak lew, i wytężył pięście
I tak skamieniał posągiem, co dyszy,
A w strasznym, suchym kości jego chrzęście
Znać siłę, z jaką wyciągnięte ramię
Śmiertelnym bojem z rozpaczą się łamie.

Ha, więc skończone! więc wszystko przepadło!
Nie uratował nic, nic, nawet głosu,
Nawet marnego echa!... I twarz zbladłą
Podniósł ku niebu, jakby szukał losu,

Co go tak zdeptał, zgniótł... Ale tam władło
Wielkie milczenie: żadnego odgłosu,
Żadnego znaku, żadnego wezwania,
Ani ratunku, ani zmiłowania.

Tak długie nad nim ciągnęły godziny,
Coraz jaśniejszą snując blasków przędzę.
Lucyl ich nie czuł. On wielkiej ruiny
Był dzisiaj panem i liczył swe nędze.
Wszystko stracone!... Jak kłąb mu gadziny
Syczało w piersi, a krwawe go jędze
Po nagiem sercu tym wężem smagały...
Tak dzień ten przeszedł, noc i znów dzień cały.

A gdy pod zachód zniżyło się słońce,
Mróz nim zatrząsnął i przejął mu kości.
Więc tam, gdzie łuny płonęły gorące,
Z gór zaczął schodzić w ogromnej jasności.
Każdy krok jego echo dawał grzmiące,
Jakby duch skał tych na ziemię szedł w gości,
I wszystkie szczyty zapłonęły nagle,
Jak purpurowe mórz ognistych żagle.

Więc się orłowie zerwali i z wrzaskiem
Lecieli prosto w zorzę, oczy krwawe
I szpony niosąc, i trzęsąc piór blaskiem,
I jakąś wielką śmierć wietrząc i strawę.
A Lucyl schodził z gór, z tym złotym brzaskiem
Zmieszany w jakieś widzenie jaskrawe,
Za którem z dolin poglądały trzody,
Rycząc i głowy podnosząc od wody.

Megistelejda żar w izbie nieciła,
Kiedy wszedł Lucyl i padł u ogniska.
Przez tę noc walki odeszła go siła
Młodości jego, i czuł, jak mu ściska
Pierś wielka, w sercu rosnąca mogiła,
Z której kwiat żaden nadzieją nie błyska...
I tak, jak drzewo, toporem zwalone,
Leżał i patrzał na głownie czerwone.

A u nóg jego — żałosne widzenie! —
Bijąc w skrzydełka bezpióre i sine,
Ptaszki w żar chciały lecieć i w płomienie,
Myśląc, że słońce... A inne, kruszynę

Chleba znalazłszy i ziarnek łupienie,
Jadły je chciwie... Aż jedną ptaszynę
Śpiew nagle chwycił, więc główkę o ściany
Tłukąc, rozbrzmiewał dzwoneczek wiośniany.

Wtem drzwi się cicho otwarły i w progu
Stanął milczący gość dziwnej postawy.
Był tak maleńki, że, jak igła w stogu,
Mógł zginąć w tłumie, lub być do zabawy
Dziatwie oddany, albo też w pierogu
Na uczcie stawion... Wzrok wiedźmy jaskrawy
Błyskawicami w samą twarz mu lunął,
Lecz gość się nie zląkł i dalej posunął.

Teraz go w świetle smolnego ogniska
Lepiej już widać było. Miał na głowie
Koronę z drżących brylantów, co błyska
W tysiąc tęcz drobnych, jak rosa w dąbrowie.
Twarz starą, bardzo pomarszczoną, zblizka
Patrzącą smętnie jakoś i surowie,
A włosy długie i do kolan broda
Były tej właśnie barwy, co ruń młoda.

Oczy miał bystre pod brwią siwą, cienkie,
W korę odziane nogi, długie uszy
Kosmate, w ręku niósł małą lirenkę,
Nad którą brzęk szedł, jakgdyby brzęk muszy,
Albo komarze granie; drugą rękę
Wspierał na berle — prosty kij pastuszy.
Taki od pięty aż do czuba głowy
Był z bożej łaski ten król skowronkowy.

O, nie śmiej się ty, czytelniku drogi,
Że ten majestat tak nieokazały...
Wierz mi, niejeden pan dumny i srogi
Z tych, którzy berła noszą, bywa mały,
Skurczony w duszy i bardzo ubogi.
»Wielki« nie zawsze jest przydomkiem chwały.
Łokietek drobny był, a nie za niego
Mieliśmy Niemy sejm i Ponińskiego.

I to ci jeszcze powiem, że prostota
Pięknie przez wieki ubierała króle.
Im król mniej srebra pożąda i złota,
Tem mniej ołowiu potrzeba na kule.

Szumiała Piastów lipa szczerozłota,
Póki z niej miodem syciły się ule
Chłopskiego ludu; padła — gdy jej kwiaty
I liść przekuły pany na dukaty.

Więc nagle, kiedy tak na izbę wkroczył,
Buchnęły piskiem niedobitków głosy,
I obłok ptasząt kalekich otoczył
Swojego króla, w brodę mu, we włosy
Lecąc, i tak go całego omroczył,
Jak mgła, z korony dziobiąc jasne rosy,
I świegotaniem głusząc izbę głośnem
Napół jękliwem, a napół radośnem.

Król wzniósł wysoko drobną lirkę swoją
I puścił po niej palce wyćwiczone.
I wnet się dziwne piosnki niosą, roją:
Słychać, jak łany szumią gdzieś zielone,
Jak gra fujarka, jak gdzieś konie poją,
Jak dymy idą nad chaty bielone,
Jak pługi ciągną na pole i radła,
Jak kropla potu, jak łza gdzieś upadła...

Dziwne piosenki! Gdy ptaszki je słyszą,
Ostatkiem piórek zrywają się z ziemi,
I jak pod niebem, pod stropem tym wiszą,
Głoskami brzęcząc rozgłośnie srebrnemi...
Potem się skrzydła mieszają, kołyszą,
Mdleją — lecz póki czarodziej je swemi
Pieśniami trzyma w powietrzu ciśnięte,
Wiszą, jak śpiewne dzwoneczki zaklęte.

Więc jak stał, tak się ku wyjściu obrócił
Z lirenką swoją król pieśni natchniony,
A taki wielki smutek go osmucił,
Że zdał się nagle jakby podwyższony.
Tłum skowronkowy za królem się rzucił,
Cały wiosennym świegotem ruszony,
Kiedy śledząca te ptasze trzepoty
Megistelejda chwyciła róg złoty.

Ledwo zadęła, wiatr świsnął w kominie,
Miecąc na izbę popioły gorące.
Szczęknęły z brzękiem szkatuły i skrzynie
I szyby w ołów oprawne i drżące.

Wnet chmura ptasząt w kłąb szary się zwinie,
Biją ku ziemi pióreczka mdlejące,
Śpiew cichnie, piersi jeżą się śpiewacze,
Słuchając, jak ten wiatr jęczy i płacze.

Lecz skowronkowy król w lirkę uderzył
I zgłuszył pieśnią wichrowe poświsty.
A takim pełnym tonem się zamierzył,
Taki głos puścił jutrzenny i czysty,
Że wszystkie skrzydła do lotu rozszerzył,
W obłok płynący górą i srebrzysty,
I roziskrzyła mu się ponad głową
Korona z rosy obręczą tęczową.

Róg znowu zadął. Słychać — trzeszczą drzewa
I lasy jęczą w zimowej zamieci,
O szyby bije szarugą ulewa,
I żadna gwiazda nad ziemią nie świeci.
Przez wszystkie szpary wiatr w izbę zawiewa,
Skwierk głodnych słychać i płacz drobnych dzieci,
A cień jastrzębia upada z wysoka,
Do czarniawego podobny obłoka.

Więc w tłumie ptaszym znów klęska i trwoga.
Drętwieją piórka i świegot umilka,
A chociaż tylko dwa kroki od proga
I do wolności choć tylko już chwilka,
Nie może wzlecieć drużyna nieboga,
I wątłych piskląt opada z niej kilka,
I rozszerzywszy skrzydła, bije niemi
Z marnym zapędem o twardą pierś ziemi.

Wtedy w wysokie, coraz wyższe tony,
Jak dzień, gdy tryska w natężonym brzasku,
Wzleciał z lireczki hymn światła natchniony,
Pełen promieni, i ciepła, i blasku...
Pod modrem niebem łan szumi zroszony,
Strumień się toczy jak złoto po piasku,
Gdzie okiem zajrzeć, głóg kwitnie i grusze,
I słychać pszczelne kapele i musze.

Łąka faluje i brzęczy pod kosą,
Ciepłych powiewów rozwiana podmuchem,
Wierzbowe gaje aż gną się pod rosą,
Świat cały śpiewem, i życiem, i ruchem...

Więc znów się skrzydła mdlejące uniosą,
I pieśń uderza radosnym wybuchem,
I znów się życie w drużynie roznieci,
Wyżej, o wyżej, odleci, odleci...

Megistelejda odmiotła włos z czoła
I w górę wzniosła róg, do ust zbliżony,
A jak Walkirja, kiedy burzy woła,
I konia z krzykiem puszcza w bieg szalony,
Tak ona, wzrokiem błysnąwszy dokoła,
Zadęła w wszystkie cztery świata strony.
I wichr przeleciał, i włosy jej z głowy
Podniósł ogromny pęd i świst wężowy.

I nagle ostre puściły się grady,
A niebo skryła nieprzejrzana chmura.
Lecące w górach stanęły kaskady,
W słup kryształowy chwycone za pióra.
Po lasach wilków zawyły gromady,
A gdy pieśń rogu przebrzmiała ponura,
Okryty szronem od stóp aż do głowy
Zastygły u drzwi stał król skowronkowy.

Korona z lodu na głowie mu błyska,
Brodę od szronów ma skrzącą i białą,
A jedną ręką do piersi przyciska
Lireczkę swoją milczącą, zmartwiałą...
Usta bez głosu i łza bez nazwiska
W zamarzłem oku jest mu skargą całą.
I świeci w niebo zastygły, jak perła...
Druga dłoń króla przymarzła do berła.

A w szarą bryłkę u nóg jego zbita
Gromadka ptasząt zakrzepłych się tuli,
I nigdy żadnej wiosny nie powita,
I nigdy pieśnią ziemi nie rozczuli.
Harfeczki polne! Jakiś żal mnie chwyta,
Gdy myślę o was... A nie każdy z króli
Ma los, od bogów życzon, jak ten oto,
By zginąć z ludem swoim przed sromotą.

PIEŚŃ XIII.

Dni, które przyszły jako hufiec wrogi,
Mroźne, szyderczo jasne i pogodne,
Lucyl nie liczył, nie patrzał ich drogi.
On pracą chłostał serce swoje głodne,
Jak się psa chłoszcze. Był cichy i srogi.
Światła mu w licu zagasły swobodne.
Gorzał, lecz żadnym jękiem się nie żalił,
Bledszy był tylko i spojrzeniem palił.

Ogromne teraz dźwignęły się góry
Głazów, zwalonych przepaściom pod stopy.
Na czoła skałom kładł nowych skał mury,
Tak, jak to dawne czyniły Cyklopy.
I tak sterczały głazy między chmury,
Jak miasto, które z mgły miało okopy,
A bramy z tęczy, a mosty zwodzone
Z tych wodospadów, co biegły spienione.

I po przepaściach zebrał wyschłe kości
Tych, co szli kiedyś pod zorzę i słońce
I roztrąceni byli, i jasności
Nie oglądali, i tych, co jak gońce
Szli przed jutrzenką tutaj, i przyszłości
Czynili ścieżki, a mieli tu końce
Straszne, od których skały krwawe były...
A nie znaleźli nawet i mogiły.

Z kości tych wielkie usypał kurhany
Pod chmurnem niebem i pod okiem Boga.
A potem padał na nie zmordowany
I myślał, jaka ciężka jest ta droga,
Którą przez wieki chodziły tytany...
A kiedy wstawał rankiem z tego stoga,
Który zagrzewał piersiami własnemi,
Słyszał, jak się te kości skarżą ziemi...

To był gród jego boleści. Z wyżyny
Tej, jak zraniony orzeł, rzucał krzyki
W samotność niebios, a obłok mu siny
Nad głową leciał, jako gołąb dziki,

I pierzchał trwożny na wschodu kończyny...
I tylko wichry, stare buntowniki,
Dęły tu swoje bluźnierstwa i skargi
Jęczącym głosem i zimnemi wargi.

Już przed nim jasne zamknęły się raje,
Już serce marzeń nie budzi swem biciem,
A sen ni złudy ni szczęścia nie daje,
I ciężkiem tylko i głuchem jest śniciem.
Przekwitły sady i zmierzchły już gaje,
Gdzie piersi świeżem poiły się życiem,
I żadna gwiazda nie wschodzi nad głową
W mroczną i długą noc ducha zimową.

Daremnie grzebie w popiołach pamięci
I tchem chce dawne rozniecić płomienie
I z pod zaklętej uroków pieczęci
Wywołać jeden dźwięk, jedno spojrzenie...
O, trzykroć nędzni i trzykroć przeklęci,
Którym odjęte jest duszy widzenie!
Wyschną i w proch się osypią pomału
Bez dalekiego światła ideału.

Życie mu dzisiaj kamieniem ciążyło,
Niepodtrzymane przez nadziei skrzydła,
I głuchą, martwą zdawało się bryłą,
Istność mu własna obmierzła, obrzydła,
A serce, które dotąd w piersi biło,
Nakształt nocnego w ruinie straszydła,
Posępną jakąś budziło w nim wzgardę,
Że nie pęknięte jeszcze — i tak twarde.

Bo jak w grobowca rzymskiego ciemności
Goreje lampa bez życia udziału,
I jako kula, co zostaje w kości
Od tego, który życiem gardzi, strzału,
Tak w nim gorzała rana świadomości
Zbawiającego światy ideału,
Który dla niego tylko miał na wieki
Niedosiężony zostać i daleki...

Duch jego odkwitł i utracił razem
Tę moc ożywczą, co wskrzesza ruiny.
Nie mógł już snów swych zapełnić obrazem
Ukochanego cienia Imaginy.

A jak gorącem dotknięte żelazem
Serce nosiło znak krwawy i siny
Po tej, co na niem spała, białej róży...
O, gdyby umrzeć mógł, a nie czuć dłużej!

O, gdyby umrzeć! Ten krzyk w świata wrzawie
Słyszy się często, najczęściej w młodości,
Gdy śmierć lubimy w wielkiej jakiejś sławie
I w jakiejś pięknej oglądać jasności.
Coraz to cichszy i nie tak jaskrawie
Bije on potem w życia samotności,
Aż zabrzmi nieraz tak silnie, tak nagle,
Że dusza chwyta za wiosła, za żagle.

I nie pytając, gdzie, przez jakie porty,
Puszcza się wielką, bezbrzeżną żeglugą.
I płyną legje duchów i kohorty
Księżycowego światła lekką smugą...
W modzie jest dzisiaj tak, jak wszystkie sporty,
Sport samobójstwa, a nawet niedługo
Rzesze niemowląt zabijać się zaczną,
Twierdząc, że śmierć jest tak, jak papka, smaczną.

Majestat śmierci! O, kto z nas umiera
Tak, by jak posąg mógł stanąć swym skonem?
Gdzie jest ta wielka postać bohatera,
Co świeci jeszcze pod słońcem zgaszonem?
Gdzie śmierć, co karty dziejowe otwiera,
Termopilami tchnie lub Maratonem,
I w nieśmiertelność idzie wielkim czynem?
Gdzie jest?... Niech pieśnią uczczę ją przed gminem!

Majestat śmierci!... O, ten już oddawna
Poszedł w kulisy na strzępki i szychy.
Śmierć, jak za Baki, jest teraz zabawna,
A czasem wstrętna, tak gust miewa lichy.
Świat już zapomniał, co to jest śmierć sławna,
Co to skon męski, ogromny, a cichy...
A kto dziś wiedzieć chce, jak mąż umiera,
Szekspira w rękę bierze, lub Homera.

Ha, czasem jeszcze w zadumie usiada
Na starym, trawą zarosłym kurhanie,
I puszcza myśli za szlakiem pradziada,
I słyszy szabel szczęk i kulek granie...

A kiedy orłów zakraczą gdzieś stada,
Cały w płomieniach zerwie się i wstanie,
I pięść zaciśnie, i wzniesie prawicę,
Aż jęknie, zwiesi skroń i skryje lice...

Więc błogosławić jeszcze los swój może
Ziemia, co w polach ma takie mogiły,
W które Bóg gwiazdy sypie i pod zorze
Rosnąć im każe... A gdy wszystkie siły
Wyjdą z niej, wszystkie tchy i pędy boże,
Tam niechaj idzie, a będą w nią biły
Podziemne światła, co palą się w grobie,
By życie — śmiercią świadczyło o sobie.

Ave!... o ave, ty cichy aniele!
Jakkolwiek przyjdziesz i o jakiej porze,
Zastaniesz w ducha mojego kościele
Mirtowym liściem woniące trójnoże.
Na mojej lutni brzmi strun tak niewiele,
Że gdy je zerwę, a nieme położę —
Ledwo się echo odwróci ciekawe...
Więc pozdrowiony bądź w swem przyjściu... Ave!

Nie miałam tutaj tej woli i doli,
Żeby mi życie za skarb wielki stało.
Nie każde ziarno wzeszło mi na roli,
Nie każdy kwiat mi rozwinął się biało.
A moje szczęście smętne jest i boli —
A serce bije doń, jakby się bało...
Więc głosu twego przez tę ludzką wrzawę
Z wielką tęsknotą nieraz słucham... Ave!

Najemny dzień mój gdy dojdzie do końca,
Więcej w nim znoju, niż zapłaty będzie.
Wiem, nie doczekam tej zorzy ni słońca,
Któreby wszystkim świeciły i wszędzie.
Więc smutna staję tutaj i chwiejąca
Ku odlotowi skrzydła, jak łabędzie,
Co z pieśnią lecą w ostatnią przeprawę,
I coraz mniej mi ziemi trzeba... Ave!

Wiem, że po polach chodzisz zadumany
Pomiędzy zboża, pełne chłodnej rosy;
Wtedy się srebrzą miesięczne tumany,
I milkną szmery wszystkie i odgłosy...

Dajże mi spocząć, jak te ciche łany!
I z łez mnie otrząś, jak otrząsasz kłosy,
I tak mnie utul, jako polną trawę
I polne zioła na sen tulisz... Ave!

Zmęczona jestem i łaknę spocznienia,
I ciszy łaknę, i pragnę ochłody,
Lecz niema tutaj drogiego ramienia
Ni żywej wody...
O, daj mi spokój polnego kamienia!
O, życz mi ciszy wiecznej i pogody!
O, nakłoń ku mnie skrzydła twe łaskawe
I daj mi spocząć na twych piersiach... Ave!

Jedna mnie tylko obawa wstrzymuje.
O nie, Przeglądzie! nie boskiego sądu.
Bóg dobry, ja Go znam, ja kocham, czuję.
Bóg wszystkich istnień, a nie Bóg Przeglądu.
O, wcale nie On strachem mnie przejmuje,
Ale się lękam tak jak Mojżesz trądu,
Że po mej śmierci jakaś dłoń Judasza
Zacznie artykuł od słów: Znana nasza...

Znana?... Kto znał mnie? Chcę widzieć czło-
Coby mi w oczy powtórzył to słowo [wieka,
Tak, by mu kłamstwem nie drgnęła powieka.
»Znana« — i »nasza!« O nędzna wymowo,
Jakże ty jesteś od prawdy daleka!
Ten wiatr i obłok, lecący nad głową,
Więcej wam znane i więcej wam krewne,
Niż ja, niż serce moje smutne, śpiewne.

Czy widzisz kamień, leżący u drogi,
Którą chodziłam nieraz zadumana?
Czy widzisz przy nim te tarnie i głogi,
Których kwiat blady we łzach stoi zrana?
Czy widzisz gaj ten, te leśne rozłogi,
Kędy się chwieje brzoza rozpłakana?...
Ta brzoza, gaj ten i to kwiecie z głazem
Lepiej mnie znają, niż wy wszyscy razem!

Ach, i Ten mnie zna, co bezsenne noce
I bezsłoneczne dni na ziemi liczy,
Co wie, jak ptak się zamknięty trzepoce,
A ile kropel jest w morzu goryczy...

Ach, i Ten mnie zna, co widzi w pomroce,
I rękę kładzie na puls tajemniczy
I który dłoń swą wyciągnął nade mną,
Iż wie, jak tu jest nędznie, a jak ciemno...

On niech mnie sądzi! A niech miłosierny
Będzie w swym sądzie dla mnie! Co do ciebie,
O autorze, bibule swej wierny,
Co treny płodzisz po każdym pogrzebie,
Z góry już widzę, jak srodze mizerny
Będzie ten płód twój; i jak Bóg na niebie,
Dzisiaj już czuję obrzydzenia dreszcze.
Dlatego żyję, tak — i chcę żyć jeszcze.

Chcę żyć, czuć wiosnę i lecieć do słońca,
I pieśni rzucać filistrom na głowy
Z wielką ich szlafmyc szkodą. Chcę, jak brzmiąca
Struna, obudzać w sercach świat echowy...
Chcę czekać rzeczy kończących się końca,
I ujrzeć jeszcze dzień jasny, dzień nowy,
A potem zniknąć tak, byś ty, kolego,
Nie wiedział zgoła gdzie, jak i dlaczego.

Stój, muzo! Liche rymy twoje lecą,
Jak koń żydowski, gnany na jarmarku!
W pieśni zbyt długie szkodzi intermezzo,
A ty mi pędzisz na złamanie karku...
Pofolguj sobie, a wypocznij nieco,
I nie myśl, żeś tu na własnym folwarku.
Bo to jest strofa mistrzów, a nie prosta,
Vide: Bajrona, Tassa i Ariosta.

Rób zresztą, co chcesz, nie będę się gniewać,
Choć dudki pójdziesz wykręcać do lasu,
Tylko już przestań nad uchem mi śpiewać
I niech twej gędźby nie słyszę hałasu,
Bo już się nudzić zaczynam i ziewać,
A mój czytelnik także nie ma czasu
I po trzy kartki odrazu przewraca,
I mówi: »Czytać... Boże, jaka praca!«

Tak, to jest praca! wiem niby coś o tem,
Muszę coś wiedzieć. Lecz zdradzać nie mogę
Tych białych kartek, bramowanych złotem,
Tych pierwszych wzlotów na Parnasu drogę.

Ach! kiedy myślę o nich, spływam potem,
I jakąś wielką mdłość czuję i trwogę.
A kiedy jeszcze na ultramarynę
Zamiast inkaustu trafię, wtedy ginę.

Ultramaryną pisują się wiersze
Tak zwane górne, wyższego polotu.
Linie się wtedy dają śmiałe, szersze,
Nakształt rzadkiego rozstawione płotu.
Pięknie litery wpisują się pierwsze,
Tytuł w oprawie drogiego klejnotu
Na zamaszystym spoczywa zakręcie.
Wszystko to wróży wyższe przedsięwzięcie.

O sens już mniejsza — któżby się tam pytał
O takie rzeczy! O pisownię takoż.
Gdy się poeta nawzdychał, nazgrzytał,
Zawsze się jeszcze znajdzie taki smakosz,
Co wzniesie oczy i będzie to czytał.
Bogi!... Gdzie mnie ten rym zapędził!... Strakosz
Jedyną dla mnie ocalenia deską
Z pośród tych hymnów, pianych na niebiesko.

Najdostojniejszy z impresarjów! Dzięki,
Żeś się urodził i chciał mieć nazwisko!
Nie pożałuję, przysięgam ci, ręki
Na poklask, gdy nam przywieziesz zjawisko,
Choćby z bulwarów nuciło piosenki...
Nad każdej gwiazdy wschodzącej kołyską
Przez ciebie słaną bić będę ci brawo,
Iżeś mi stanął z pomocą łaskawą.

Inni znów piszą czerwonym inkaustem.
Ci mają własne swoje atrybucje;
Filozofują z Manfredem i Faustem,
Gotowi Parnas wprawić w rewolucje.
Najdłuższe strofy piszą jednym haustem,
W trudnościach biorą prędkie rezolucje,
A kiedy rymu wynaleźć nie mogą,
Paf! rym ustrzelą i dalej mkną drogą.

Są jeszcze, którzy po miękkiej bibule
Wodnistą farbą mażąc miękkiem piórem,
Padają rymem, jak deszcz, a tak czule,
Że musisz zmięknąć, chociażbyś był murem.

Ci wykrzykników mają pełne pule,
A na świat patrzą wejrzeniem ponurem,
I robaczywe miewają uśmiechy
I Hamletowskie zadumy i wzdechy.

Mam cię! na końcu mam cię tutaj pióra,
O Apolinku z włosami złotemi!
Widzę, jak bledniesz i jak drży ci skóra,
Byś tu nie został przybity do ziemi...
Idź, motyl nie wart rysiego pazura!
Idź, lataj jeszcze nad grządki kwietnemi!
Ty wiesz, że czuć to mam prawo, co czuję...
Idź, czekaj, aż cię kto szpilką przekłuje!

Tak każdy wieszczów rodzaj i gatunek
Ma do swych natchnień osobne przybory.
A gdy się zdarzy takowy trafunek,
Że się inkaustów zmieszają kolory,
Wieszcz głowę traci i spełnia rabunek
W cudzej dziedzinie natchnień. A stąd spory,
Albo grymasy twoje, piękna damo,
Żeś już sto razy czytała to samo.

Wszakże nietylko te lekkie konnice
(Czy lekkie — sam to osądź, dobry Boże!)
Mają arkana swe i tajemnice,
Bez których żaden zbawion być nie może.
I mistrze nawet, przez sławy mennice
Stemplem znaczeni na swoim honorze
I na godności pieśniarskiej, ci mają
Także swe dudki, co łatwiej im grają.

O muzo! dziwne są czasem twe drogi
I niezbadane, gdy pędzisz po sławę.
Czasem najdzielniej śpiewasz, mocząc nogi,
Czasem dym kurząc, albo pijąc kawę.
To wielkim krokiem przemierzasz podłogi,
To oczy wlepiasz w księżyce bladawe,
A był, do kogo »sam rym się naginał«,
Gdy sobie u nóg nagniotki wyrzynał.

Ach, tak! Wszyscyśmy tu ułomni ludzie,
Zrodzeni w grzechu, który — et cetera...
I każdy musi mieć budę, a w budzie
Własnego trzymać dla duszy suflera;

Musi go żywić w czoła swego trudzie,
Musi odziewać, i tak od Homera,
Aż do... cyt! muzo!... Aż do... do poety,
Co na dwa wiersze pisze trzy »niestety«.

Gdyby dwa pisał, byłby w swojem prawie.
Świat jest niewdzięczny, a mięso drożeje.
Ale trzy razy, pozwólcie łaskawie,
To trochę nadto. Niech się co chce dzieje,
Życie ma dobre chwile. A na jawie,
Chociaż wieszcz bluźni i gorzko się śmieje,
Jest może więcej chwil takich na świecie,
Niźli się przyśni głodnemu poecie.

Raz bowiem prawdę powiedzieć tu trzeba:
Pesymizm w znacznej części swej przychodzi
Stąd, skąd sny Moora, i czasem brak chleba
Melancholiczne bardzo strofy rodzi,
A krzyk zwątpienia od ziemi do nieba
Kawał pieczeni cudownie łagodzi...
Nie! nie o tobie mówię, Leopardi!
Ty duchu smutny jak śmierć, jak śmierć hardy.

Tyś jest z tych, którym nigdy tu nie będzie
Dobrze na świecie; z tych, co mają duszę
Jak zranionego orła w burzy pędzie,
W namiętnej dumnych pragnień zawierusze.
Jęk życia ściga ich i goni wszędzie.
Tytany smętne i Prometeusze,
Pełni wewnętrznych ogniów i płomieni,
W czarne przepaści bytu zapatrzeni.

Ich liry zawsze bić będą w niebiosy
Ogromną pieśnią skarg. Ich struny brzmiące
Zawsze westchnienia mieć będą i głosy
Wszystkich nędz, którym tu przyświeca słońce.
Ani poranek nie ma tyle rosy,
Ani gwiazd noce, co te lutnie drżące
Łez mają w sobie, by płakać nad niemi,
Że wschodzić muszą i zachodzić ziemi.

I gdyby pieśń ta zmilkła, to mogiły
Jękiem i echem ton sobie podadzą.
I morza będą w srebrne harfy biły...
Bo świat ten stoi pod mocą i władzą

Bólu, a w pieśni są tajemne siły,
Co go przez drogę ognistą prowadzą,
I posiew czynu rzucają w zarzewie
Serc, i świat żyje pieśnią, chociaż nie wie.

Bo niezmienione jest serce człowieka
Od dnia, gdy Adam ziemi się narodził.
A droga jego jest równie daleka,
Jak wówczas, kiedy Dant do piekieł schodził.
I z ran tych samych taż sama krew ścieka,
I świat z niczego się nie wyswobodził,
I też co dawniej ma złudy i znoje,
I stare walki prowadzi i boje.

O wieku! Kiedyś będziesz ty nazwany
Wiekiem dramatu dusz, a twoje dzieje,
Upadki, klęski, tryumfy i rany
Stworzą ogromną duchów epopeję.
O wielkich rzeczach tyś jest zadumany,
A zorza, która tobie dzisiaj dnieje,
Zapali kiedyś świat na cztery rogi...
Dlategoś dziś już tak smętny i srogi.

Tłum pragnień, tęsknot, porywów, nadziei,
Jak rozpalony wulkan buchnął lawą
I wstrząsnął mury tej pysznej Pompei,
Co na karjatyd karkach stała krwawo...
Myśl, co się zwała wśród czasów kolei
Helladą, Romą i Kolumba nawą —
Dzisiaj Spartakiem jest, który się z cienia
Wybłyskawicznia w czyn i wypromienia.

Wiekiem bez jutra, wiekiem bez przyszłości,
Nazwał cię jeden trwożliwy poeta.
A ja powiadam, że wstanie z twych kości
Dzień, co przez ziemię przejdzie, jak atleta,
I pagórkami doliny wymości,
I tyle blasków rzuci, jak kometa,
Co w sieć ognistą, gdy niebem przelata,
Pół mórz zajmuje i suszy pół świata.

Ty wiek bez jutra? ty, któryś na szalę
Ludzkości negra rzucił wyzwolenie?
Coś »Tysiąc« mężnych wiódł w bój pod Marsalę,
Coś miał Arkadjon w Krecie i płomienie?

Ty, co jak wicher bijesz w ludów fale
I masz ogromne przyszłości natchnienie,
Którego jęki najwyżej się wzbiły
Przez wielkie serca i wielkie mogiły?

O, bądź spokojny! Twe jutro już wschodzi
Z posiewu twoich łez, twa przyszłość idzie
Wielkim, burzliwym krokiem. Już się rodzi,
Już błyska zorza, co po tobie wnijdzie
I ster zatknięty jest już na tej łodzi,
Co nosi imię twoje, Winkelrydzie,
Co ziemie, ludy, idee, narody
Z tułactwa wróci do własnej zagrody.

Tyś srogi, bo już się staje poczęcie
Dni, które będą chodzić w błyskawicach,
I miecz się wznosi ten, który da cięcie
Po mocnych bardzo zbrojach i przyłbicach.
Ach, tyś i smętny, bo krwawe pieczęcie
Na jutra twego leżą tajemnicach,
I wie świat, że ich nie podniesie ręka,
Co łzy wyciska, ale krwi się lęka.

Dłoń to potężna będzie i potężne
Ramię, co wolą porusza miljonów...
Serce skrzywdzone, nie krzywoprzysiężne,
Co wyda taki jęk — jak bicie dzwonów.
Ruszą się wtedy pieczęcie mosiężne,
I wyjdzie tysiąc klęsk i tysiąc skonów...
I spadnie z głowy wzgardzonych zelżywość,
A ciałem będzie słowo: sprawiedliwość.

Lecz teraz wszystkich gniecie zmora głucha,
Która imienia nie ma ani twarzy,
Ale przeraża brzękami łańcucha,
A czasem jęczy i cicho się skarży,
To znów płomieniem i krzykiem wybucha,
I łachmanami potrząsa Łazarzy,
I grozi w mrokach. A gdyś jest uśpiony,
Wstaje — i na świat rzuca cień czerwony.

Vivi sepulti — oto jest nazwanie,
Które nam wszystkim dzisiaj dobrze służy.
Lecz te letargi mają zmartwychwstanie,
Ludzkość nie poto, by gniła w kałuży!

A gdy się spełni czas, a już się stanie,
Rzućcie mi, bracia, na grób kwiatek róży,
Bom ja już teraz jest z onymi dniami,
I gdy nie mogę krwią — piszę to łzami!

Ale gdzież Lucyl?... Ha, zgubią mnie, widzę,
I bohatera mego interwale,
Co idą na mnie w wieczornych gwiazd lidze,
I w zadumania ciche biją fale...
A gdy ja tutaj śpiewam, płaczę, szydzę
I, równoważąc w locie rymów szalę,
Na modrych szlakach Pegaza popasam,
On z myślą śmierci pozostał sam na sam.

Myśl cierpkich smaków, choć jeszcze *in nuce*...
Więc go zostawię tak, niech się oswoi.
A lubo bardzo lękam się i smucę,
Że mój bohater głupstwo jakieś zbroi,
Przecież tej pieśni wątek już porzucę,
Bo świeża nuta lutnię moją stroi,
I słyszę brzęki lekkie, ciche, złote,
Jak rój wiosennych pszczół... *Felice notte!*

PIEŚŃ XIV.

...Słodki jest owoc natchnienia,
Ale łupina pełna jest goryczy.
Z jak dziwnym trudem myśl w ciało się zmienia,
Bój sama z sobą wiodąc tajemniczy.
To ci jak gwiazda piękna wschodzi z cienia,
To znów przepada jak ognik zwodniczy,
A kiedy w mózgu tak pęka jak raca,
Jaki to ból jest, a jaka to praca!

A potem nie sądź, oktawy że lecą,
Jak stadko białych nad dachem gołębi,
Gdy się pod słońce trzepocą i świecą,
Strząsając rosę, co pióra im ziębi.
Sfolguj jej tylko i uzdy puść nieco,
A to ci strofa tak nagle się zdębi,
Żeś jeszcze »Jezus Marja!« nie powiedział,
Już będziesz w błocie lub na piasku siedział.

Lecz że ma swoje powaby, nie przeczę.
Jest jakaś pełność w niej, jakaś swoboda,
Są cięcia ostre i jasne jak miecze,
A czasem, gdy ci się pod rękę poda,
To jako strzała z łuku ci uciecze.
Nikt tu nie ujmie nic i nic nie doda,
A rym ostatni leży na niej dumnie,
Jako kapitel na jońskiej kolumnie.

Za formą idzie duch — jeżeli idzie.
On także ma tu rozwiązane pióra,
A choć go czasem, srogi Arystydzie,
Twa nieskalaność potępia ponura,
Bywa tak piękny w tym swoim bezwstydzie,
W tem obnażeniu swojem *in natura,*
Że, mimo wszystko, kocham tego ducha,
Co żywej pieśni płomieniem wybucha.

Więc, czytelniku, nie gniewaj się, proszę,
Że cię tak wodzę po różnych wertepach
I że w tych strofach na wietrze się noszę,
Co niepętany, jak koń, buja w stepach;

To oczy rosą gryzę, to znów koszę
Puste badyle po pustych czerepach,
I różne błyski rzucam, różne bielma,
Jako ogników rój świętego Elma.

Wierzaj mi, niema w tem wcale złej woli.
To życie tak się szyderczo układa,
Że ledwo dotkniesz w niem rany, co boli,
Już cię śmiech pusty jak kuglarz napada,
Potrząsa dzwonki, szaleje, swywoli,
I tyle różnych bajek ci nagada,
Tak otumani, że wskroś tej maszkary
Z trudnością własny ból swój poznasz stary.

Przecież on zawsze tam! Jego źrenice
Patrzą na ciebie z cienia — rozszerzone,
Bezsenne, groźne. One tajemnice
Nędzy twej znają, wiedzą, że zranione
Serce masz w piersi. Więc choć się na nice
Wywrócisz, one zawsze krwawą stronę
Dojrzą — mara posępna i blada —
Aż człowiek, rażon tem spojrzeniem, pada.

Ha! różne bronie i różne są rany,
Co zabijania mają władzę smętną.
Czasem ci jeden słowiczek wiośniany
Rozerwie serce piosenką pamiętną.
Czasem jęk, który lud ukrzyżowany
Wydaje, ginąc, natęży ci tętno
Aż do pęknięcia; a czasem umiera
Ktoś z marzeń, nakształt mego bohatera.

O, nędzny to czas i nędzne to życie,
Kiedy marzeniem możesz być otruty,
Kiedy gorące serc szlachetnych bicie
Wystarczyć może za czarę cykuty!
O, nędzny to czas, a jeśli wolicie,
O, nędzne tuzy wasze i atuty,
Wasze powagi i wasze wielkości,
Co kładą na nim pieczęć swej nicości!

Hańba im! Dzień ten, który się rozbrata
Z pięknem i czystem młodości marzeniem,
Tak małym będzie dniem, że w biegu świata
Wraz z ich pamięcią zginie i imieniem.

Niewartą wzmianki byłaby ta strata,
Gdyby, co można stwierdzić doświadczeniem,
Po dniu najmniejszym, jak fatalna siła,
Najdłuższa właśnie noc nie przychodziła.

Ale przychodzi, takie jest jej prawo,
I głuche mroki swoje rozpościera
Na czoła ludów. O, sny mszczą się krwawo!
A człowiek, nimi otruty, umiera
Nie w swem marzeniu, lecz w tem, co jest jawą
Sen pierzcha, lekka przyszłości chimera
Tęczowe skrzydła na wiek cały zwija,
Lecz rzeczywistość wpierw wzgardą zabija.

PIEŚŃ XV.

Nad jarem wzeszło słońce. Zima miewa
Takie uśmiechy złote, co nie grzeją,
Ale na śnieżne równiny i drzewa,
Skostniałe długą lodową zawieją,
Rzucają nagły promień, który śpiewa,
Lśni się i tańczy. Kury wtedy pieją,
A głodnych wróblów i dzieci gromada
Z śmiechem i wrzaskiem z pod strzechy wypada.

W jarze nie było dzieci, ale za to
Byli skurczeni i głodni poddani,
Którzy za drobną wolności opłatą
Z łask korzystali prawa i swej pani.
Łaska, co prawda, nie była bogata,
I ani jeść im nie dawała, ani
Grzbiet im okryła, choć sroży się zima,
Lecz wszyscy czuli, że za kark ich trzyma.

I było dobrze. Nie myślcie-bo, proszę,
Iż tylko człowiek do szczęścia stworzony,
Że on sam tylko znać może rozkosze
Opieki prawa i łaski korony,
Że jego tylko krew, życie i grosze
Godne są państwa żelaznej skarbony.
Takim się błędem niech nikt z nas nie łudzi.
To nie zwierzęta wzór brały w tem z ludzi.

O tak! Przykłady są w świecie zbyt liczne,
By je wymieniać. Zajrzyjmy do ulów,
Czyż nie są, pytam, pszczoły monarchiczne?
Czyliż nie mają swych trutniów i królów?
Czyliż zbieranie miodu idyliczne
Nie jest w istocie nędz pełne i bólów,
Jak chłopska dola? I czyż mówić trzeba,
Że woskiem płacą podatek dla nieba?

Szczęście, że nikt ich nie drażni pokusą,
»*Sic vos non vobis*« pisząc im na ziołach;
Nie wiedzą, co to Diderot i Rousseau,
I o roboczych nie słyszały wołach.

A gdy na wiosnę jest już z niemi kuso,
Rojami giną, tak jak chłopi w siołach,
Albo po miastach wybladłe hołysze,
Którym »*non vobis*« los na chlebie pisze.

A teraz mrówki... Widzisz te kolumny
Czarne, co ciągną w olbrzymie pochody?
Rozkaz je z siedzib pchnął srogi i dumny,
I wnet ich krocie porzuca zagrody.
Idą, do wielkiej jakiejś idą trumny,
Która jak Moloch pochłania ich rody,
Idą — cała ich armja czarna płynie...
Gdzie ty, Grottgerze i Wereszczaginie?...

O gdzie ty, gdzie ty, jasny Patroklesie,
Tych mirmidonów przyszły bohaterze!
Jako kukułka, co lata po lesie,
A z wschodnich wiatrów głosy swoje bierze,
Tak ja polecę, tak mnie wiatr poniesie,
I oba skrzydła nad ziemią rozszerzę
I będę latać, będę ciebie szukać,
Jako kukułka będę w lesie kukać...

Ale nie o tem miałam mówić. Ciepło
Zwabiło w jarze całą służbę dworną,
Jak wszystkie dwornie zgłodniałą i skrzepłą,
Jakieś puhacze robotą toporną,
Jakieś jaszczury, w których oko lepło,
Jakieś wilczyska, postawą pokorną
O poniżeniu niewoli świadczące,
Wszystkich znęciło na próg złote słońce.

Tu drwinki, żarty i zębów szczerzenie...
I było z czego! W pobliżu od proga,
Zmartwiały jako przydrożne kamienie,
Stał skowronkowy król w obliczu Boga.
A kiedy słońca strzeliły promienie,
Łza roztopiona, jako perła droga,
Po twarzy jego zastygłej spływała
Wielka i cała w iskrach, w ogniach cała.

O biedny królu pieśni! Gdy tak patrzę
Na twoją krzywdę i na łzy tej ślady,
To mi się w myśli snują cienie bladsze
Od księżycowych nowiów, jakieś dziady

Srebrne, co gęśle niosą w cichym wiatrze,
I przez gościńce idą i zawady
W jakąś ogromną cichość i milczenie
I kamienieją w przydrożne kamienie.

A ludzie, co tam chodzą przez te drogi,
Stają i ucho nakłonią ku ciszy,
I zadumania są pełni i trwogi,
Że na tych polach kamień nawet dyszy,
Że echa jakieś lecą przez rozłogi
I że się takie boże granie słyszy
W powietrzu, pełnem ech... A nic nie wiedzą,
Że złote gęśle dzwonią tak nad miedzą.

Że kiedyś, kiedyś — a kto już spamięta!
Ponad tem polem i nad tą dąbrową,
Gdzie teraz szare gonią się ptaszęta,
Zastygło życia i ziemi tej słowo,
Że wisi teraz, jak perła zaklęta,
Pod błękitami bryłeczką lodową,
I nie roztaje, aż lud je ogrzeje
Sercem — i własne ciepło w niego wleje.

A wtedy ziemia ujrzy senne dziwo.
Lasy, co szumią w wiosenne sztandary,
Żórawie sznury, co z pieśnią jękliwą
Na gniazda swego padają zrąb stary,
I legje kłosów, idących na żniwo
Pod srebrną tarczą ros... Ogromne mary,
Które się ludom przyśnią na świtaniu
O dnia wielkiego brzasku i zaraniu.

PIEŚŃ XVI.

Megistelejda wysłała tymczasem
Wici na wszystkie cztery strony słońca:
Na wschód wyleciał z ogromnym hałasem
Jastrząb, co tutaj sługiwał za gońca,
Na zachód pełznął wąż mieniącym pasem,
Nad nim pustułka, w orzechy świszcząca,
Pod wiatr północny ostrowidz wyskoczył,
A na południe jeż kłębkiem się toczył.

Pędzą. W gór ciszy słychać nagłą wrzawę;
Echo do echa wieść sobie podaje,
Że na ogromną łowiecką wyprawę,
Jak są doroczne w tych kniejach zwyczaje,
Królowa jaru śle słowa łaskawe
W odległe świata dzierżawy i kraje,
Spraszając gości, rzecz prosta, koronnych
I najjaśniejszych w jasnościach przedzgonnych.

Sama tymczasem gotuje przyjęcie
W domostwie swojem; ze szkatuł, ze skrzyni
Dobywa skarby w naczyniu i sprzęcie,
I z drogich tkanin tła jasne im czyni.
Jakby na wróżki potężnej zaklęcie,
Namioty kwitną palmami pustyni,
Kobierce łąki rzucają pod stopy,
A jako lazur gwiezdny wiszą stropy.

Rozkosz i przepych wszędzie. Drogie wonie
Z urn się kosztownych wznoszą, jak obłoki,
Na ścianach błyszczą zwierciadła i bronie,
Z lamp kryształowych leją się potoki
Świateł, a każde inną barwą płonie
I nowych dziwów odsłania widoki.
W głębi złocistą kopułą nakryty
Tron stoi; przy nim węże, zamiast świty.

A gdzie już bogactw domowych nie stało,
Megistelejda puszcza się na czary:
Tu tęcze rzuci, tam wydmucha białą
Różę przez słomki, co zrosły się w pary,

Tu echo puści, żeby salwy grało,
Tam z mgły srebrzyste rozwiesza kotary
I wichry w trąby skręca, by nad głowy
Dostojnych gości brzmiał hymn narodowy,

Rule Britannia, albo *Mnoha lita,*
Lub inny piękny hymn podobnej treści.
Europa w pieśni takie jest obfita,
Ledwo że wszystkie je w sobie pomieści.
A gdy jęk czasem przy śpiewie zazgrzyta,
Gdy razem z hymnem buchnie krzyk boleści,
Taraban w bęben z skór lojalnych bije,
Co w wszystkich mowach znaczy: »Niechaj żyje«.

Tutaj maleńkie robię zastrzeżenie.
Oprócz tych hymnów są i inne jeszcze,
Co z piersi idą, jak grom i płomienie,
A jako wicher idą, budząc dreszcze.
Gdy zabrzmią — znak to, że jest podniesienie
W wielkiej mszy ludów, co hostje złowieszcze,
Pełne plam krwawych, podnosi w niebiosy
I kielich, pełen strasznej, krwawej rosy.

Baranku boży! O, Baranku boży!
Ty, który gładzisz grzechy wielkich świata!
Baranku, wiedzion na krwawej obroży,
Abyś był zabit, a zginął z rąk brata...
Jako ta owca, co ust nie otworzy,
Kiedy ją strzygą, tak ty w ręku kata...
Tyś ofiarowan za nas w polu, w chacie,
Baranku boży cichy! Chrysta bracie!

Przed tobą tu się korzy serce moje,
To serce, pełne skruchy i gorące...
Ja wiem, jak płyną potu twego zdroje,
Ja wiem, jak pali głowę twoją słońce...
A jeśli czasem pustotą się poję,
Nie myśl, że pola czarne i milczące
Mniej mówią do mnie słów w swej wielkiej ciszy:
I w śmiechu moim jest jęk, kto go słyszy.

Ale do rzeczy. Owego siedliska
Nędzy, gdzie wiedźma miała rząd ponury,
Niktby nie poznał. Wszystko lśni się, błyska,
Pozatykano kwieciem różne dziury,

Różne rudery, brudy i śmieciska,
Przytem wydano rozkaz, by do góry
Wszyscy trzymali uszy, a kto spyta
O cobądź, — »hurra!« krzyczeli i kwita.

Aż serce rosło patrzeć! Wszystkie drogi,
Pięknie żywiczną smołką wykadzono,
Jeden i drugi pies dostał batogi,
Iż śmiał coś szczeknąć i sierść miał zjeżoną,
A wszystkie krety z jaru, co do nogi,
Iść precz musiały *pro publico bono,*
Gdyż podejrzane były o podziemne
Loże i jakieś roboty tajemne.

Trzeci raz w morze padało już słońce,
Gdy nagle w górach zabrzmiały salw krocie.
Bez tchu, zmrożeni wracali się gońce.
A tuż za nimi w purpurze i złocie,
Wiodąc ze sobą orszaki błyszczące,
Jechali goście. Tu jestem w kłopocie,
Jak ich opisać, a nawet i w strachu...
Ratuj, gotajski święty almanachu!

Pierwszy z jadących był król Herod. Bajki
Wszystko, co mówią o jego zgryzotach,
Jakoby sypiać nie mógł, palić fajki,
I widział wszędzie główki w papilotach
Małych Żydziątek. Prawda, że Jamajki
Używa nadto nieco i w trykotach
Tańcuje wtedy, choć chroma na nogę,
Lecz reszta — bajki! Zaręczyć wam mogę.

Bajki to także, jak sami widzicie,
Że miał już umrzeć i spróchnieć przed wieki.
O! nieśmiertelne Heroda jest życie!
A koniec jego tak prawie daleki,
Jak koniec świata. On dziś jest na szczycie
Potęgi swojej, a te krwawe rzeki,
Na które patrząc Rachel włosy rwała,
I teraz niosą martwych synów ciała.

Król Herod miał dziś uniform wojskowy
Angielski, cały czerwony, i kepi.
Oddawna on już zarzucił strój głowy
Wschodni i zrobił, przyznać trzeba, lepiej.

Tyara z rogiem i szal muślinowy
Spiralnie zwity — widzą to i ślepi —
Już przestarzały — i są tylko w modzie
W Rzymie, a także jeszcze w Carogrodzie.

Zarzucił również syryjskich płód tkaczy —
Swe całodziane szaty, z ognistemi
Smoki na żółtych tłach, dobre w rozpaczy,
By je rozedrzeć od szyi do ziemi.
Dzisiaj królowie boleją inaczej
I gniew tłómaczą gestami innemi,
Które są również dobitne, a przecie
Nie czynią takiej szkody w toalecie.

Nim wszakże dobrał do woli i miary
Strój, który dzisiaj mieć raczy na sobie,
Król Herod różne przywdziewał czamary,
Mieniąc je w nader rozlicznym sposobie,
Względnie do czasu, do sprawy i miary,
Jaka na ziemskim przypadła mu globie.
Więc się już nosił i krótko i długo,
Z berłem, z nahajką i z prostą maczugą.

Widziano go już w hiszpańskim birecie
Na Medycejskiej dworze Katarzyny,
W dyplomatycznym fraku na bankiecie,
Kiedy ginęły Kandjotów drużyny,
Widziano w masce, w balowej karecie,
W hełmie, co czoła zakrywa głębiny,
Nawet w ornacie kiedyś go widziano
Pod Aspromonte, czy też pod Mentaną...

Świeżo ku Anglii powziął skłonność nową,
Mundur brytyjski wdziewając z paradą.
Lecz ze swą wschodnią, kędzierzawą głową
Dosyć w czerwieni tej wyglądał blado.
Postać miał także wcale nie marsową
I wiele waty i fiszbinu kładą
W jego uniform. Wkrótce ma go zmienić,
Tylko Fenjanów chce wpierw wykorzenić.

Tuż za Herodem dworzany i świta.
Wszystko w mundurach tej gwardyi. Ordery
Świecą pod słońce, aż oczy blask chwyta.
Dwór piękny! Skoczki na linie, bankiery,

Krzykacze trybun, czerń, nigdy nie syta
Grosza i uciech. W dwa długie szpalery
Dwór się wyciągnął; szły ciche rozmowy,
Ale przedmiotem ich nie były łowy.

Naprzeciw jechał król Dagobert stary.
Ten się wydawał spokojnym człowiekiem.
Szerokie bardzo nosił szarawary,
Gdyż nieco zbytniej tuszy nabrał z wiekiem.
Dzisiaj za dawne kąski i puhary
Od lat już wielu żyje papką z mlekiem,
I bardzo często, kiedy raport czyta
O swych zwycięstwach, za nogę się chwyta.

Podagro! Wielka mścicielko ludzkości!
Tyś jak logika jest nieubłagana.
Przez wszystkie straże ty przechodzisz w kości
I nieugięte ty zginasz kolana.
Tobą trapiony, król temu zazdrości,
Kto z glinianego pije wodę dzbana
W więziennym lochu i śpi na barłogu...
Podagro! Władzo najpierwsza po Bogu!

Państwa cię znają tak samo, jak króle,
I polityki ty wykręcasz stawy.
Kiedy świat chwycą okropne twe bóle,
To się przez dzieje wlecze — jak koślawy.
Nic nie pomogą podpórki i kule,
Bokiem wyłażą zbyt tłuste potrawy.
Bój pod Kannami, albo u Tanagry —
To tylko wielkie ataki podagry.

Król Dagobertus — jak pewno to wiecie
Z francuskich piosnek — był pan znakomity.
Trzy rzeczy dobre uznawał na świecie:
Wino, podatki i piękne kobiéty.
Ścisły był bardzo w dworskiej etykiecie,
A jeśli spisek jaki był odkryty,
Rebeljant woli ni życia nie tracił,
Tylko do śmierci płacił, płacił, płacił.

Stąd liberały i burzliwe duchy
W okropne nieraz wpadały zgryzoty,
Widząc, jak wszelkie spiskowe podmuchy
Serc nie wzruszają, lecz idą za płoty.

Bo jakież, proszę, mieć można otuchy
W ludzie, co musi próbować swej cnoty
Rewolucyjnej, jeśli rewolucje,
Zamiast męczeństwa, dają kontrybucje?

Lecz kto był wierny tronowi — też płacił.
Któż bowiem płacić będzie, jak nie wierny?
A potem — system, ażeby nie tracił
Na swym walorze, musi być obszerny
I działać wszędzie. Ten, kto się zbogacił,
Niech Cezarowi rzuci grosz mizerny.
Kto nędzarz — pytam — co już może stracić?
Wszyscy więc winni płacić, płacić, płacić.

Król Dagobertus niemało się zmienił
Od chwili, gdy go opiewały pieśnie,
I więcej teraz miłe grosze cenił,
Niż Horacjusza ody i czereśnie.
W późnym się wieku raz drugi ożenił,
Lecz i to mu się zdawało zbyt wcześnie
I nim miłości swej zrobił ofertę,
Powtarzał często: »*Semper stilum verte*«.

Teraz, ujrzawszy przed sobą Heroda,
Podniósł do czoła dłoń z miłym uśmiechem.
Król Herod, lżejszy, wnet z koniem się poda
I prawą rękę wyciąga z pośpiechem.
Najmilsza bowiem panuje tu zgoda,
I prędzej morze wyczerpiesz orzechem,
Niż poznasz, kto tu kogo więcej kocha.
Tylko Heroda koń żachnął się trocha.

Król Dagobertus miał bowiem w zwyczaju
Zwykłego ciurę używać za konia.
Koni się lękał. Szukano po kraju
Tęgiego w karku i w biodrach gamonia,
Pasiono owsem, moczonym w tokaju,
Potem na uździe wodzono przez błonia,
A kiedy przyszła popręga, kulbaka,
Król wybornego miał pod wierzch rumaka.

W tej chwili właśnie na murzynie jechał,
Gdyż dziś mu z planu wypadał koń kary.
Murzyn białymi kłami się uśmiechał,
Dźwigając pańskie kosztowne ciężary.

Parskał, rżał pięknie, przytem nie zaniechał
Raz czy dwa wierzgnąć (koń miewa przywary),
A zacny murzyn tę nową liberją
I rolę swoją brał całkiem na serjo.

— *Cher cousin!* — szepczą panowie, z zapałem
Prawice sobie ściskając wzajemnie.
— Jakżem szczęśliwy! —Jak dawno czekałem! —
— Jak piękna chwila! — Jak mi jest przyjemnie! —
— Cieszę się mocno! — Cieszę sercem całem! —
Wtem król Dagobert dłoń cofnął tajemnie,
Gdyż właśnie wspomniał, jako każdą nocą
Króla Heroda ręce krwią się pocą.

Stara historja! Z czasów, gdy Jan ścięty
Został w więzieniu. Lecz co osobliwa,
Że i król Herod uczuł nagłe wstręty
I palce z słodkich uścisków wyrywa...
Przyszło mu na myśl, że król jest wyklęty
I że go rzymska nie święci oliwa...
Obadwaj tedy cofnęli się nagle,
Zwinąwszy swoich serdeczności żagle.

PIEŚŃ XVII.

Ochłodli, milczą. Tymczasem z za góry
Orszak się nowy ukazał. Był zbrojny,
Barwny, buńczuczny, a szumiał tak pióry,
Jak stado dropiów. Orszak, jak do wojny,
W stal był przybrany i obok purpury
Żelazem świecił. W pośrodku dostojny,
Z rycerskich czynów sławny i wycieczek,
Na siwym jechał dzianecie król Ćwieczek.

Był to prawdziwy król, w złotej koronie,
Jak go nam stare malują powieści;
Rycerska postać, otwarte w świat skronie,
Broda trefiona, jak warkocz niewieści,
Złociste jabłko piastuje na łonie.
Płaszcz z gronostajów purpurą szeleści,
Na nogach dziane perłami postoły,
A w miejsce żezła — w prawicy miecz goły.

»Żezło« tu mówię, zamiast: berło. Stare
Księgi mnie do tej niewolą nowości.
Tam nieraz znajdziesz pod wagę i miarę
Słówko, co w język napuszcza słodkości
Piastowych czasów. O, miejmy odwagę
Przemówić, jako ci ojcowie prości!
Co do mnie, myślę, że to nazwa niezła —
I gdy nam bereł brakło, miejmy — żezła.

Rozplotłe grzywy okryły w pół siodło,
Na którem siedział król sztywno i twardo.
Koń żuł żeleźce, co wargi mu bodło,
Szedł lekko, stępa, a łeb nosił hardo.
Za krasną uzdę dwóch giermków go wiodło.
I to na wieki zostanie nam wzgardą,
Że, choć miecz w ręku, koń pod nim i kula,
Zawsze ktoś wodził nam naszego króla.

W milczeniu jechał pan. Wkoło dworzany,
Rycerstwo, giermki na dzielnych bachmatach,
A każdy strojno i zbrojno przybrany,
W kolczugach, deljach, ferezjach, bławatach.

Zabrzmiały rogi, a hejnał, wysłany
Pod samo niebo, zgasł kędyś w wiwatach.
Młódź strzela z łuków, skowyczą psów sfory,
A w ciężkie skrzydła biją białozory.

W tyle na siwym podjezdku zgarbiony
Skakał z pośpiechem i dość krotochwilnie
Mąż jeden, wielką księgą objuczony,
W której śpiczastym nosem szperał pilnie.
Był to sławetny latopis korony,
Mistrz Jan Pakowius, który nieomylnie
Spisywał wszystko, cokolwiek się stało
Za króla Ćwieczka... Miał pracę niemałą.

Czas to był bowiem niezmiernie ciekawy,
W liczne i ważne wypadki obfity.
Pierwszy raz w chatach przednówek był krwawy,
Pierwszy chłop został przez pana obity,
O dziesięcinę pierwsze poszły sprawy,
Pierwszą palono beczkę okowity,
Pierwszy się szlachcic herbem pieczętował
I pierwszy Kurjer właśnie się drukował.

I dziw! Im bardziej popędzał szkapiny
Mistrz Jan, tem szybciej przestrzeń owa rosła,
Co go od łowców dzieliła; zmierzch siny
I jakby chmura nad ziemią ich niosła.
Już tylko widzi luzaków czupryny,
Już białozorów skrzydła, niby wiosła,
Z kłusa się w galop puszcza na ostatku...
Darmo! Nie dognasz czasów — czasów świadku!

One pęd mają i lot swój osobny,
Któremu żadna nie dotrwa kronika.
Nim skryptor tytuł wypisał ozdobny,
Czas spłodził chwilę, a chwila już znika.
Ruch życia wieczny i wiecznie sposobny
Kuć bohatera albo niewolnika.
Jeszcze mu tętni pod młotem kowadło,
A to, co żyło, czuło — już przepadło.

Tymczasem obaj panowie patrzyli
Przez szkła z uśmiechem na nowe przybysze.
Król Dagobertus do ucha się schyli
Króla Heroda i szepnie: — »Hołysze!«

Lecz że już blizko są, więc twarz umili
I na murzynie lekko się kołysze,
Który, ujrzawszy psy, łuki, rarogi,
Zdębił się nagle i powstał na nogi.

Bardzo mi jednak zaznaczyć tu błogo,
Że to zdębienie głupiego murzyna
Nie naraziło na przykrość nikogo,
Tylko wełnista i zbita czupryna
Została w ręku jeźdźca. Tak niedrogo
Bunt okupiwszy, rumak karku zgina,
I nie wydaje się zdziwionym wcale,
Że na ostrogach krwi błysły korale.

Pięknie się orszak rozwinął Ćwieczkowy
Po lewej jaru i po prawej stronie.
Królowie, jadąc, obnażyli głowy,
Tylko sam Ćwieczek, milcząc, stał w koronie.
Herod miłemi witał gościa słowy,
Lecz kiedy w uścisk ujął jego dłonie,
Obie mu nagle w ręku się zostały,
A sam się Ćwieczek w proch rozsypał cały.

On i korona jego i postoły,
Płaszcz z gronostajów i czaprak złocisty,
I siwy rumak jego i miecz goły,
Trefiona broda i wąs zawiesisty —
Wszystko to poszło w prochy i w popioły,
Jakby go nagle wicher tknął ognisty.
Los tylko jabłko nietknięte zostawił
Z pięknym napisem: »Bogdajś się udławił«.

A tu już orszak cały i rycerze,
Laufry, trębacze, sfory, sokolniki,
Czerwone delje, kołpaki, pancerze,
Konie, oszczepy, giermkowie, łuczniki —
Wszystko to jakieś barwy mgliste bierze,
W cień się rozwiewa, w echowe muzyki,
W popiół się sypie, a ponad popioły,
Żałośnie jęcząc, latają sokoły.

Tak to los czasem osypuje króle,
Ludzie i rzeczy świetne i błyszczące,
Jak te wiosenne lekkich puchów kule,
Co się zwą dziadki, a stoją na łące.

Pastuszek bosy idzie i w koszulę
Kamyki zbiera; wtem oczy śmiejące
Na dziadka zwróci, dmuchnie i koronę
Na wiatr osypie, na trawy zroszone.

Tak to jednego dotknięcia nie strzyma
To, co się czasom nie mogło dostroić,
I pięknych marzeń pogląda oczyma
W świat, zamiast łupić i zamiast się zbroić.
Krwawych rąk uścisk zabija olbrzyma,
Co się mądrością wieków nie chciał poić,
I myślał może — marzyciel szalony —
Że jakaś boża moc strzeże korony.

Jeszcze stał Herod z otwartemi usty,
Witanie swoje uciąwszy w pół słowa,
Kiedy powiały chorągwie i chusty
Na znak, że jaru zbliża się królowa.
Wnet zapłonęły w górach stosów chrósty,
Wnet się muzyka ozwała godowa.
Ocknął się tedy, a gdy płaszcz drapował,
Dagobert chyłkiem jabłko w kieszeń schował.

Jakoż przybyła prosta, zimna, harda,
W szacie z mgły śnieżnej i w czarnej zasłonie.
W ciemnem jej licu paliła się wzgarda,
Żelazny djadem ozdabiał jej skronie,
Głos ostry, mowa burzliwa i twarda,
Z błędnych ogników przepaska na łonie...
Za nią jej dwornia w paradnych mundurach
Drży — i ze strachu krzyczy: hurrah!... hurrah!...

Właśnie się Herod zwrócił z komplementem,
Dworsko złożonym, i z gładkiemi słowy,
Kiedy wtem nagle z ogromnym tętentem
I z głośnym rykiem gość zjawił się nowy.
Tu o cierpliwość proszę! Niech się wstrętem
Nikt uwieść nie da, bo ten, co na łowy
Przybywał, wołem był tylko na pozór,
A w rzeczy król był, Nabuchodonozor.

Miał on w swem życiu tę drażliwą fazę,
Że siano jadał i przeżuwał trawę.
Dewotki zwykle wpadają w ekstazę,
Trafiwszy na to miejsce dość ciekawe.

Co do mnie, nie mam za żadną obrazę
Tronu, co ześlą niebiosa łaskawe,
I nie pojmuję, czem się kto rozczula,
Że się król w wołu zamienił, lub wół w króla.

Nie mogę tutaj ukryć, że miał rogi,
Lecz na nich złota błyszczała korona.
Maści był czarnej, a kolec zbyt drogi
Zdobił mu nozdrze; bogata opona
Ze złotogłowiu spadała na nogi,
Których miał cztery. Co zaś do ogona —
— Ha, trudno! staję przed historyi tronem —
Tak jest, król machał potężnym ogonem.

Dwóch szambelanów przy boku mu stało,
Na prawo kanclerz państwa i ministry.
Dyplomatycznie król dobierał ciało
Bardzo szczęśliwie, miał wzrok nader bystry.
I tak pomyślnie wszystko się składało,
Że kiedy mniejszość tworzyły filistry,
Krzyczące na to, że wół ich oprzęga,
Przy tronie stała prawdziwa potęga.

O opozycjo! podziwiam głupotę,
Co ci przeszkadza ocenić stan błogi
W twym Babilonie i czasy te złote,
Od kiedy król twój ma ogon i rogi!
Finanse, armja, oświata — na jotę
Nie stoją niżej — przyznają to wrogi —
Niż u sąsiadów, a korzyść niemylna:
Mowy tronowe i lista cywilna.

Nebukednezar (z syryjska go zowię,
Bo zgłoski król ten zanadto ma liczne),
Ujrzawszy piękną królowę w parowie,
Wydał odgłosy dosyć idyliczne.
Megistelejda pyta go o zdrowie,
Gdyż miewał kiszek katary chroniczne,
Gość ryknął wdzięcznie, a za nim, jak echem,
Koń Dagoberta parsknął ludzkim śmiechem.

Ale król Herod zwrócił tak rozmowy
Na całkiem inne i wdzięczniejsze tory
I barwistemi opowiedział słowy,
Jako król Ćwieczek przybył tutaj chory

Na przyrośnięcie korony do głowy,
Na zadawnione rycerskie wapory,
I jak w proch tutaj poszedł i na nice,
Gdy mu uścisnął, jak bratu, prawicę.

W tej właśnie chwili spocony, zziajany,
Mistrz Jan Pakowius dopadł był orszaku.
A gdy obaczył żałosne odmiany,
Że z króla Ćwieczka już niema i znaku,
Dobył swej księgi latopis stroskany,
Którą u siodła stroczoną miał w saku,
Odwinął kartę i tam *a capite*
Zaczął: »O srogie Parki nieużyte!«

Tu stanął, jakąś mgłę z oczu odegna
I pisze dalej: »O nieszczęsne króle!
O żałośliwe koron interregna!
O zły przypadku! O ultima Thule!...
Niechże się teraz świat ze słońcem żegna«...
Tu łzy pociekły po grubej bibule,
Mistrz księgę rozdarł i cisnął. Stąd sprzeczka,
Czy był król Ćwieczek, czy nie było Ćwieczka.

Gdy się więc goście znaleźli w komplecie,
Do strojnych komnat królowa ich wiodła.
Dwaj monarchowie, ściśli w etykiecie,
Szli pieszo, swoje opuściwszy siodła.
Trzeci nie jeździł. W przyzwoitej mecie
Służba prowadzi konie, niesie godła.
Murzyna luzem chciano puścić z duszy,
Ale się uparł, by go wiódł koniuszy.

W zamku najpierwej uczta. Jej wspaniałość
Muszę zostawić tu nieopisaną
Na wielką twoją, czytelniku, żałość,
Jeśliś jest smakosz i jeśli ci dano
Rozumieć kuchni pańskiej doskonałość,
Lecz żadna z strof tych nie chce być pisaną
Stylem »Obiadów za pięć złotych«. W cieniu
Zostawiam tedy ucztę i jej *menu.*

Po uczcie spektakl. Czekano albowiem,
Aż księżyc wzejdzie ponad uroczyska.
Tam, kiedy błyśnie noc miesięcznym nowiem,
Dziki swe mają schadzki i igrzyska,

I niedźwiedź wtedy czesze tam pustkowiem,
Na szczytach giemza pod strzał piersią błyska,
Po lasach świecą ślepiów meteory,
A głodne wilki wyją swe nieszpory.

Spektakl był pyszny, a gość czworonogi,
Który w balecie zwłaszcza gust znajdował,
(Małpy tańczyły balet) pierścień drogi
I bukiet pierwszej donnie ofiarował,
A tak bił brawa, że drżały podłogi,
Śmiał się, Heroda ściskał i całował,
I głośnym rykiem objawiał zachwyty,
Właśnie jak u nas, gdy parter nabity.

Już to przyznajmy, że król stracił wiele
Z dobrego tonu i dworskiej maniery,
Od kiedy różny chwast jada i ziele,
A rękawiczek używa aż cztery.
Krzywią się na to form pięknych czciciele,
A pesymiści wróżą blizkość ery
Rewolucyjnej, gdy w koronie gotów
Ideał Russa i wzór sankiulotów.

O dobry guście! I ty, dobry tonie!
Wam pieśń osobną poświęcićbym rada
I śpiewać wielkość waszą, co na tronie
Małości naszej tak błogo zasiada.
O idealny francuski żargonie!
O konwenansie! Potęga twa włada
Na wschód i zachód... I rymem i prozą
Czczę cię, o muzo nasza! Święta Pozo!

Gdyby cię greckie ujrzały siostrzyce,
Wnet helikońskie rzuciłyby góry
I, jak na skromne przystoi dziewice,
Wdziały gorsety, treny i turniury.
Wnet pudrem wdzięczne osypawszy lice,
Miałyby rauty, żurfiksy, fiksżury,
Gdzie się prowadzi rozmowę bogatą
Angielskim ściegiem, lub *punto tirato*.

Gdyby Apollo wieść o tobie dostał,
Wnet, frak przywdziawszy, zostałby tenorem;
Gdyby Merkury — bankieremby został,
Albo przynajmniej przy banku faktorem.

Faunby w dziennikach obyczaje chłostał
I moralności zostałby cenzorem.
Zeus — salonów lwem i panien łupem,
Bachus — prezesem wystaw, lub biskupem.

PIEŚŃ XVIII.

Wszedł księżyc. Rogi łowieckie zabrzmiały,
I wnet, zbudzony tą nocną pobudką,
Tysiącem ogniów zapłonął jar cały.
Znów rogi zabrzmią. Jar odzew dał krótko.
Ognie się w ciemność rzucają, jak strzały,
Łączą się, płoną olbrzymią sobótką,
A potem skrzydła dymiące rozwiną,
Jak smoki lecą i jak lawa płyną.

Na łów! Na łowy!... W sto cieniów, w sto bły-
Z żagwiami pędzą jaskrawe luzaki. [sków,
W sto barw, w sto kształtów, w sto śmiechu wy-
[trysków
Na lwistych koniach mkną pańskie orszaki.
A wpośród dzikich łomotów i pisków
Z gniazd wypłoszone zrywają się ptaki
I biją skrzydły ciężkiemi na trwogę,
Lecą olśnione przez mleczną wskroś drogę.

Za nimi iskier jasne się fontanny
Sypią, jak z nieba zmiecione gwiazd roje.
Trzask łomów słychać, gdzie zwierz pada ranny,
Dymią spalone na panwi naboje,
Płonące smoły padają, jak manny,
Z żagiew wpędzonych w bór i, wisząc w sople,
Kapią, jak złota stopionego krople.

Bliżej, to dalej, słychać łowów wrzawę.
Ze skał na skały wlatują pochodnie.
Za niemi rogów echa, co obławę
W tropie trzymają i gończe przewodnie.
Aż na trzech szczytach, jak trzy słońca krwawe,
Błysnęli króle, posępne przechodnie,
Na których drodze wskroś biją lamenty,
I gwiazdy lecą precz przez firmamenty.

Nad nimi, jako ciemnych myśli chmura,
Dymu smolnego zwinięte korony.
Na piersiach w czarność idąca purpura,
Po której ognie pełzną i czerwony

Haft wygryzają, a płomienne pióra
Żagiew, co w różne miotają się strony,
Łunę rzucają krwi na białe ręce
I na Run złotych reszteczki jagnięce.

Poniżej kupa dworzan. Konno, pieszo,
W jasnych biretach, w kołpakach, w kapuzach,
Pędzą, padają, mijając się, śpieszą,
Zginając karki w ukłonach, w ekskuzach...
Wysoko nad tą arlekinów rzeszą
Sokole berła sterczą, a w kobuzach
Zakapturzonych dusza tak jest harda,
Że z ich okrągłych oczu świeci wzgarda.

Panowie stoją, więc i dwornia staje
I jaki aki łeb wznosi do góry,
I patrzy na te szafirowe kraje,
Gdzie Orion wieje ognistemi pióry.
Lecz bardzo nędznem niebo im się zdaje,
Co starostw niema, ani prefektury,
Ni monopolu do dania, ni teki,
I gdzie bez wstęgi tkwią gwiazdy, jak ćwieki.

Na Boga! W błędzie jesteście panowie!
Mądry i stamtąd weźmie, co mu trzeba:
Dla dusz drzemiących wygodne wezgłowie,
A dla pasterza sytnego kęs chleba.
W monopol — niechaj będzie mu na zdrowie —
Wziąć on potrafi cały obszar nieba *),
A tych błękitnych łąk srebrzyste astry
Przekuć na liry, marki, nawet piastry.

Cóż robić! Człowiek dobro swoje bierze
Tam, gdzie je znajdzie. Więc cieszmy się
[w Panu,
Że skała Piotra w tak zgodnej dziś mierze
Tuż przy świątyni ma plac dla straganu,
Gdzie się na funty przedają pacierze
I absolucje, które nakształt chrzanu
Prostaczków w oczy szczypią łzą pokutną.
A kiedy mówię to — o, jak mi smutno!

---

*) Warjant: zamiast »cały obszar nieba« — »prefekturę nieba«.

Ty sam wiesz, Boże, Ty, coś mi wymierzył
Myśl na skowrończy lot po Twym błękicie,
Ty, coś mnie tchem swym tak w piersi uderzył,
Że mam w nich odtąd śpiew i skrzydeł bicie.
Ty wiesz, że duch mój w pióra swe się jeżył,
Jak konający ptak, zanim go życie,
Z puchów skubiące żywcem krwawą ręką,
Z tą smutną, gorzką zjednało piosenką.

Ty wiesz, jak chciałam wierzyć w Twego ducha,
Blask siejącego prawdy w nawy mroczne,
Jaka mnie cichość tuliła i skrucha
Pod krzyże Twoje i wieże obłoczne...
Dziś za Chrystusem idę, co z łańcucha
Skrybów rozkuwa rzesze, a co poczne,
To śladów Tego proch ustami zmiata,
Czyje królestwo nie jest z tego świata.

O Rzymie!... Jakeś ty mnie zawiódł, Rzymie!
Tyś, jak ta kokosz, skrzydeł nie rozszerzył
Nad pisklętami, gdy w Jerozolimie
Jastrząb się wielki nad niemi zamierzył.

Nie! Ty się skryłeś w kadzideł twych dymie
I z jastrzębiami tyś sam się sprzymierzył,
W blaskuś się pawich piór obnosić dawał,
Któreś z szat dzianych Chrystusa wykrawał.

W ciemnościach, ponad ludy uśpionemi
Widziano twoją rękę wyciągniętą
Do dłoni mocnej, krwawej, co na ziemi
Oparła ciężki miecz. Tę rękę zgiętą,
Jak do uścisku, widzę tu, przed memi
Oczyma! rękę, która była świętą
Dla mnie, gdy sieci ciągnęła rybacze —
I jest mi w duszy gorzko tak, że płaczę!

Dość — pękaj struno!... Przez pół widnokręga
Niebo goreje łunami szeroko,
A przez pół drugie, jak wód modra wstęga,
Co się wygina lazurów zatoką,
Miesięczna jasność horyzont przesięga.
A niżej przepaść otwiera swe oko
Czarne i zieje nocą pod błękitem,
Jak piramida, odwrócona szczytem.

A w tych dwu światłach, jak duchy, jak cienie,
Łowcy się snują z pośpiechem i gwarnie.
Za nimi lecą echa i gór drżenie,
Rżą bystre konie, ujadają psiarnie.
W lasy ucieka noc i jej milczenie,
A gdy i tutaj wrzawa ją ogarnie,
Czarnogwiaździste unosi zasłony
Tam, gdzie samotnik stoi zamyślony.

Najdziksza ustroń nie dość jeszcze dzika
Temu, którego własne serce szczuje.
W najgłębszej ciszy jest płaczów muzyka,
Co nagłem łkaniem pod niebo wzlatuje,
Jak płomień trawi ból, jak wiatr przenika,
I w najczarniejszej ciemności maluje
Ognistym palcem przed twemi oczyma
To, coś miłował, a czego już niema.

Więc tam szedł Lucyl, gdzie przepaści dyszą
Podziemnych źródlisk szumem i strumieni,
Szedł, gdzie kaskady kryształowe wiszą,
Nim je potrąci wiatr i w pył zamieni,

Tam, gdzie się orły nad gniazdem kołyszą
I gdzie sępowie siedzą oślepieni
Od nagłych gromów, tam szedł i tam padał
Piersią na ziemię — i z bólem swym gadał.

O, trzykroć nędzne i trzykroć przeklęte
Serce, co nie zna łkań takich wśród nocy,
Kiedy samotne i długo zamknięte
Tak się otworzy nagle, jak sierocy
Dom, w którym kwiaty więdnieją nietknięte,
A który woni pełen jest i mocy,
Na gwałt bijących!... O, trzykroć nieszczęsne
Serce niezdolne pęknąć, serce mięsne!

O, trzykroć nędznym jesteś, jeśliś z płaczem
Nigdy nie upadł na ziemię zroszoną
Łzami traw polnych, jak ten, co tułaczem
Wraca i pada na matki swej łono —
Jeśliś, nie wiedząc ku czemu i za czem,
Rąk nie wyciągał w noc cichą, uśpioną,
I nagłym krzykiem nie budził jej głuszy...
O, trzykroć nędznym jesteś, wyschłym w duszy!

Naraz zadrżała ziemia. Tętent głuchy
Pędem przeleciał i wstrząsnął gór łono,
A smolnych ogniów jaskrawe wybuchy
W niebo się łuną rzuciły czerwoną.
W łunie tej giemzy lecą, jako duchy,
Nad niemi z szyją sokoły zjeżoną,
Pod sokołami psy, które się zdają
Oszczekującą chaos Yamy zgrają.

Aż kiedy z krwawych łun wyrwie się koła,
Na księżycowym nagle stojąc szczycie,
Kozica głowę wznosi i w sokoła
Nieruchomego patrzy na błękicie.
I gończy staje i wietrzy do koła,
Potem na księżyc urwane śle wycie,
I jak ich czar ten chwycił, tak się razem
Zdają ze srebra ulanym obrazem.

I nagle na tę jasność księżycową,
Co szła przez góry rozwiewna i drżąca,
Z lazurowego dzbana gwiazd perłową
Rosę po drodze powietrznej sypiąca,

Na tę harfianą jasność i echową,
Co senną ziemi pierś, jak strunę, trąca,
Upadł cień ostry, łamiący się, długi,
Nad brzeg przepaści rzucając swe smugi.

Zerwał się Lucyl, a krew mu czerwoną
Płachtą powiała w oczy: nad otchłanią
Ujrzał — z kapicą niedbale rzuconą
Na gęstwę włosów — straszliwą swą panią...
Stała tam, z głową na piersi zwieszoną,
Jakby w znużeniu, a płaszcz, co się za nią
Wlókł niewiązany, wydłużał ją jeszcze
W kształty widmowe, potworne, złowieszcze.

Po co tu przyszła? Któż śmiałby zgadywać
Wspólność pomiędzy wiedźmą tą a nocą?
Może runiczne pieśni przyszła śpiewać
I strzały łowców zaklinać złą mocą.
Może się przyszła w mgłach białych umywać,
Zdmuchiwać ognie błędne, co migocą.
Któż wie? — Nie myślał Lucyl wcale o tem,
A krew mu biła w żyłach jakby młotem.

On czuł to tylko i to widział jasno,
Że się coś zerwie tutaj i przesili,
Albo niebieskie światła nagle zgasną
I w przepaść zlecą, jak roje motyli,
Albo mu głowę tu przyjdzie dać własną,
Albo się niebo· na ziemię pochyli
I zgniecie wszystko, i stłoczy, i zdusi,
A ta okropna wiedźma zginąć musi!

I krzyk mu jakiś bezdźwięczny bił z wnętrza,
I ściskał gardło jego, jakby kleszczem.
Coraz czerwieńsza fala i gorętsza
Z pod serca szła mu płomieniem i dreszczem,
Czuł, jak się przed nim wielka ciemność spiętrza,
Jak gwiazdy lecą w dół siarczanym deszczem,
Jak mu nad głową skrzydłami uderza
Jakiś posępny ptak krwawego pierza.

I jakby we śnie zobaczył trzy szczyty
Gór, rozjaśnionych ogniami nocnemi,
Co na trzy części rozdarły błękity
I na trzy części rozdarły pierś ziemi.

Na każdym szczycie król, dymem nakryty,
Miedzianem czołem błyskał, a pod niemi
Góry się zdały chwiać w ogromnym chrzęście,
Gdy krok postąpił i zacisnął pięście.

I nagle dzikie zerwały się głosy
Wkoło... jakaś go siła naprzód pchała.
Na czoło wyszły krople zimnej rosy,
Krew mu w źrenicach jak ogień latała,
I wszystkie dębem podniosły się włosy,
I czuł, jak ziemia pod nim drży i pała...
Rzucił się, jakaś struna w piersiach pękła,
Z krzykiem pchnął wiedźmę w przepaść — prze-
[paść jękła.
I cisza. Lucyl stał, jakby rażony
Nagłym piorunem, co tajnie uderza,
Z wyciągniętemi przed siebie ramiony,
Jak człowiek, który przez ciemności zmierza.
Zacięte zęby, wzrok mętny, zgaszony,
Pierś podniesioną dech z sykiem rozszerza,
Przed nim latają skry mroczne i sine,
Widzi je, jak się rzucają w głębinę.

Naraz sto gromów błysło. Huk podziemny
Zatrząsł posadą gór, a z mrocznych głębi
Wyszły gryzące dymy; słup ich ciemny
Pod niebo bije, rozszerza się, kłębi,
Ziemię przejmuje dreszcz i strach tajemny,
Miesięczną tarczę blask czerwony wrębi,
I nagle wichry skręcone zawyją
I oślep lecą — i w trąby się wiją.

Tu pauza. Mniemam, że dość na dziś będzie
Tej fantastyczno-dziwacznej wyprawy
W krainę bajek. I to mam na względzie,
Że się już spocił mój krytyk łaskawy,
Nie mogąc sprostać tym strofom w rozpędzie,
Co sobie lecą dla pustej zabawy
Po takich drogach, przez takie urwiska,
Gdzie krytykowi chodzić jest rzecz ślizka.

Niejeden z bractwa nabawił się guza,
W ślad za poetą lecąc karkołomnie.
Niech więc na skrzydłach nosząca się muza
Zamilknie teraz i spocznie tu skromnie.

W państwie Zoilów ni pieszka ni tuza
Obrażać nie chcę — i owszem, co do mnie,
Otwarcie wyznam, iż równie się strzegę,
Czy cios partacki jest, czy *artis lege.*

Po dobrem cięciu wnet goi się rana.
Sykniesz, krwi trochę utracisz, i basta.
Czasem masz nawet chlubę, że-ć zadana.
Lecz gdy cię partacz niezdarnie pochlasta
Swą szerpentyną od pstrego żupana,
Jątrzy się szrama i długo nie zrasta,
I szwy po sobie zostawia szpecące
Tak, że się nie śmiesz wychylić na słońce.

Więc siadaj, proszę, Zoilu mój drogi!
Zawiń się w szlafrok i przywdziej szlafmycę.
Abu Kazema ciżmy weź na nogi,
Zażyj tabaki, weź pióro w prawicę
I zdrzemnij sobie... Lecz śpiesz się, na bogi,
Bo ja cię zaraz z tej drzemki pochwycę
I porwę z sobą przez takich dróg szlaki,
Że i szlafmycę zgubisz — i chodaki.

PIEŚŃ XIX.

O Don Juanie i panie Zbigniewie!
Złą waćpanowie wskazaliście drogę
Swym epigonom, i nikt dzisiaj nie wie,
Na którą pierwej ma but obuć nogę:
Czy na tę, która drży, by zdeptać w gniewie
Za głupstwem świata wlokącą się togę,
Czy na tę, która jest prędka i śmiała,
A po epickim torze iśćby chciała.

Więc, jak po linie, chodzą poetowie
Waszymi ślady, sypanymi złotem,
Lirycznych dreszczów czując w kościach mrowie
I obracając językiem, jak grotem.
I często taki zawrót mają w głowie,
Że ich bohater oblewa się potem,
Nie wiedząc, kiedy tak poeta krąży,
Czy wyjść na scenę, lub zejść na czas zdąży.

I może właśnie z tej płynie to racyi,
Że tak Don Juan, jak Imć pan Beniowski,
Choć z tak przeciwnych zrodzeni są nacyi,
Iż ledwo duch ich natchnień zbliża boski,
W pół uniesienia i w pół intonacyi,
Nie domówiwszy ostatniej swej zgłoski,
Gdy jeszcze z dziwu masz usta otwarte,
Za nieskończoną chowają się kartę.

Bogdajś się święcił, o mistrzu nad mistrze,
Cny Cervantesie! tak pełny sam w sobie,
Że i Don Kiszot, w swej skóry tornistrze
Trzęsący kości, i Pansa, w swym globie
Noszący sadło, tak wzięci są bystrze
I tak zupełni w swym własnym sposobie,
Że księga twoja dobiega do końca,
Jak do zachodu swego kula słońca.

Dziś inne czasy i inne są mety,
I nie tak łatwo dosięgnąć jest celu.
Don Juanowi przeszkodzą kobiety,
Zaś pan Beniowski, po klęskach zbyt wielu,

Na obszarpańca wychodzi, niestety!
I choć ma dyplom królewski w portfelu,
Po różnych swoich tatarskich uczynkach
Nie znajdzie gwiazdy szczęścia w Anielinkach!

Tak to zbyteczna źle służy swoboda
I bohaterom samym i poecie,
Gdy pieśń, wezbrana z pod serca, jak woda
Na różne strony w rozlewie się miecie.
Nie czyni tego elegja ni oda,
Pięknym ordynkiem chodzące po świecie,
Tylko te, co są pokusą, oktawy
Przywodzą człeka do takiej niesprawy.

Więc kiedy owe pamfile i asy,
Gry nie skończywszy, gasiły swą świeczkę,
Cóż Lucyl, który trafił na złe czasy,
Gdy ludzie zamiast ziarna żują sieczkę?
Tamci w Europie czynili hałasy,
Ten w boru siedzi, jak wilk, i troszeczkę —
Wyznam — mnie samą nudzi już figura
Do zbytku długa, mglista i ponura.

Mój czytelniku, sam osądź tę sprawę:
Czy dla nas, którzy żyjemy realnie,
Mamy kodeksu salonów ustawę,
Bankową filję i chemiczne pralnie,
Mogą być takie powieści ciekawe,
W których bohater tak jest idealnie
Pomiędzy ziemią postawion a niebem,
Jakgdyby człowiek nie musiał żyć chlebem?

Co zrobił, pytam, przez wszystkie te karty?
Gdzie doszedł? Jaką odznaczył się cnotą?
Czy ma kapitał? Czy kredyt otwarty?
Czy na wystawach choć blaszkę wziął złotą?
Czy sławą jego brzmią tory i starty,
Jak księcia Lolo, albo hrabi Toto?
Czy ma przyjaciół?... Tu wspomniećby można
O pieczeniarzach i pieczeniach z rożna.

Lecz jak raz dzisiaj dzień mamy piątkowy,
Więc post na mięso, *silentium* i skrucha.
A takie świeckie i błahe rozmowy
Ckliwość sprawiają i burczenie brzucha.

Karp od ogona, lub szczupak od głowy —
Oto mi rzecz jest przystojna dla ducha...
Tu płaszcz ironii na sobie rozdzieram
I nowym strofę akordem otwieram.

Gdy Lucyl ocknął, cisza była wszędzie.
Młoda jutrzenka stała na rozświcie,
Rzucając róże przez wschodu krawędzie.
W powietrzu słychać było skrzydeł bicie
Lekkich obłoczków, co się jak łabędzie
W puchach kołysząc, niosły po błękicie,
Lub jak rybitwy uderzały lotem
W śnieżyste pióra po tem morzu złotem.

Króle i psiarnie, dworzany i łowy —
Wszystko to zmiotło jedno wichru tchnienie.
Tylko ów murzyn, koń Dagobertowy,
Stał i ze śmiechem żuł uzdy rzemienie;
Potem się nagle zapatrzył w świt nowy,
Jęknął, jak jęczą kopane kamienie —
A jako nędzy ciężkie, czarne brzemię,
Z łkaniem i z płaczem wielkim padł na ziemię

A ledwo dotknął jej piersiami swemi
Ów rab nikczemny, ów murzyn spodlony,
Kiedy jęk wielki wyszedł z onej ziemi,
Jakby mu odzew dawały miljony.
I opadł tuman płachtami mglistemi,
I odkrył jasny dzień na cztery strony,
I dziwny wkoło widnokrąg rozszerzył,
W który się duch mój rzucić chce, nim zmierzył.

PIEŚŃ XX.

O Patmos! ziemio, któraś wyszła z morza,
By wygnanemu orłu dać spocznienie!
O skało widzeń, nad którą się zorza
Przyszłości niosła, jak wiatr i płomienie!
O arko słowa! o wyspo ty boża,
Któraś dni nowych miała objawienie!
O brzeg twój piersią biję — ptak zbłąkany —
I napojony gorzkiemi wód piany.

Dajże mi w duchu być z tobą dziś, Janie!
Nie iżby serce moje godnem było,
Ale żem z ziemi, gdzie słychać wołanie
Kamieni polnych i traw nad mogiłą
Prorokujących, iż przyjdzie a wstanie
Dzień, który z wielkim zapędem i siłą
Wskroś jutrzenkami przez ciemność się rzuci
I starej nocy gmachy precz rozrzuci.

Kościołom Azyi pozdrowienia słowo
Do Sardes słałeś i Laodycei.
O, pozdrów kościół, który ma nad głową
Wianki bocianich gniazd w długiej alei,
A strzechę z tarcic bitą, modrzewiową,
A pełen jęków jest i ech zawiei...
A krzyż ma słońcem złoty na swej strzesze
I błogosławi z pól idące rzesze...

Ten kościół pozdrów, który lipy wsparły,
Chłód roznoszące i cień swój daleki,
I całe nad nim w szumach się rozwarły
Świegotom ptasim i brzękom pasieki.
Mów mu: »I żywy i byłem umarły,
A teraz jestem żywiący na wieki«.
I pozdrowienie daj mu tej przyszłości,
Której czekają na polach tych kości...

A gdy tak błagam, to więcej po sobie
Nie mam, jak tylko, że w ducha ucisku
I za dni smutnych żyję i w żałobie,
A tak się błąkam, jak wiatr po ściernisku

Pola zżętego w przedżniw swoich dobie...
O, daj mi przyszłych dni dojrzeć zabłysku!
Bo i ja idę z krainy wygnania,
Nad którą orzeł zraniony się słania.

Więc jakoś sam był nakarmiony księgą
Pełną gorzkości, a w ustach miał miody,
Tak i mnie nakarm, a niech mnie dosięgą
Wieków tych głosy, co idą jak wody.
Niech mi się w piersiach skowronki wylęgą,
A wzlecą z pieśnią wiosennej swobody,
Jednem pióreczkiem daj mi zostać z onych,
W polocie ducha twego uronionych.

Słowo me słabe, a głos mój jest cichy,
Ani mi dana jest czarodziejstw sztuka.
Lecz jak sasanek, co swoje kielichy
Wskroś śniegów puszczą i pod wrzaskiem kruka,
Tak ja, wysłaniec pośledni i lichy
Wiosny tej, która już w pierś ziemi puka,
Mam za to, iż mi choć grudeczkę marną
Rozgrzać Bóg zdarzy i zrobić mniej czarną.

Więc gdy tak świat ten nawskroś się odsłonił,
Zdał się być stepem wielkim i bez końca,
A wicher po nim chodził i jęk ronił,
Nakształt ślepego lirnika i gońca
Wieści mogilnych, i proch po nim gonił.
A był proch jako chmura latająca,
Z której szły ręce i ramiona mgliste
I głosy Ciebie wołające, Chryste!

A w stepie onym widną tylko była
Ta, gdzie ów nędzarz czarny upadł, góra.
I zdała się być, jak wielka mogiła,
Z której szła rąk tych podniesionych chmura.
I tak w jutrzenkach stała i patrzyła
W zorzę, a zorza też zwinęła pióra,
I na błękicie nieruchoma stała,
I także w oną mogiłę patrzała.

I ta jest ziemi zapieczętowana
Siedmiu pieczęci mocą tajemnica,
Z których jest pierwsza krwią zafarbowana
Jak rubin, a jak ognia błyskawica

Druga, a trzecia z łzy jednej ulana,
Jak jasna pełnia białego księżyca,
A czwarta rdzawa, jako są kajdany,
A zaś ostatnie, jako żywe rany *).

A koń się biały puścił z wschodniej strony,
A na nim jezdnik, któremu jest dana
Moc zbroi, miecza i złotej korony.
I na mogiłę koń ponieść chciał pana,
By mieczem jak ów mógł być uciszony.
Lecz rumakowi zaklęsły kolana
I padł; a jeździec na mieczu się zwinął,
Jak na żelazie jastrząb, i tak zginął.

A mało po nim koń puścił się kary,
Co świecił póry pawiemi, jak tęczą.
Na głowie jeźdźca potrójne tyary
Trzęsły się złotych pierścieni obręczą.

---

*) Warjant:
A inne rdzawe są, jako łańcuchy,
I brzęki idą z nich i łoskot głuchy.

Krzyżem zaklinał jeździec mgliste mary,
Co nad mogiłą latające jęczą,
Lecz mu w pół drogi koń stanął, jak wryty,
I tej się ziemi tknąć nie śmiał kopyty.

A nie jest dana jeźdźcowi moc inna,
Jak ta, że wtenczas będzie czynił cudy,
Kiedy tyara potrójna, gadzinna,
W gałąź się zmieni, i wzniesie nad ludy
Oliwną ciszę, i będzie niewinna
Krwi i żelaza, a złota blask rudy
Wzgardzi i stanie się przepaską cichą,
Jak owa, z róży pleciona Jericho,

Którą na wzgórzach Jeruzalem rwały
Chłopięta, biegnąc w podsienie Piłata
Z tłumem i w biegu tym roniąc kwiat biały,
Iż tylko gałąź została kolczata
Na głowę Chrysta. A wieniec ten brały
Po wszystkie wieki te ludy z rąk świata
I duchy, które nad ciżbą poziomą
Znak swój na czole noszą: *Ecce homo.*

I był wypuszczon potem koń czerwony.
A który siedział na nim, miał na łęku
Wór kupna swego, srebrem napełniony,
I szalę, jako dwa księżyce w ręku.
Więc z jednej skarb swój położywszy strony,
Drobną grudeczkę onej ziemi jęku
Rzucił na drugą, a tak zaciężyła,
Iż w górę poszedł wór i srebra bryła.

A widząc duchy, że nic ich nie zbawi,
Ni wojownicy, ni kupcy, ni święci,
Podniosły wielki krzyk, jak krzyk żórawi,
Kiedy na mokre lecą sianożęci
Wskroś zorzy, co się na zachodzie krwawi...
Ale grobowe wieka i pieczęci
Nieporuszone są, jako i były,
U wielkiej, ziemię cisnącej mogiły.

A potem cisza na ziemi się stała,
Jakoby na czas i czasu połowę.
I powalone były jezdnych ciała,
A konie szyję skręciły i głowę.

A ziemia, która pod kopytem drżała,
W długie się łany rozwiła zbożowe,
I głos swój zboża wydały i szumy,
I świat się odział cichością zadumy.

I wyszedł w on czas, stopy mając bose,
Anioł pól. Biały len go przyodziewał.
W glinianym dzbanie zagonom niósł rosę
I polne maki po miedzach zasiewał.
Jak żeniec, tak niósł na ramieniu kosę
I krzyżem żegnał skowronka, co śpiewał.
Zaś na mogiłę wstąpił i zdjął oną
Pieczęć najpierwszą, jak rubin czerwoną.

A z pod pieczęci wyszedł naród blady
W zgrzebnych siermięgach z strzyżonymi włosy,
Krwawe stóp swoich zostawując ślady
W piasku, a w rękach puste niosąc kłosy.
A chociaż z owej posępnej gromady
Nie wyszedł żaden jęk, przecież się głosy
Pełne żałości niosły ponad niemi,
Jakoby łkanie i płacz matki-ziemi.

I stanął tłum ten, obrócony czołem
Ku jutrzni, która się paliła złota.
A ten, co rzeszy onej był aniołem,
Schylił się, z ziemi wziął bryłeczkę błota
I rzekł: — »Czem jesteś? — umarłych popiołem...
Lecz ja uderzę w ciebie ciosem młota,
I posąg z ciebie wykuję swobody,
I dam ci miejsce pomiędzy narody«.

Co gdy uczynił, poczęły się rzesze,
Biorące grudki z onej roli czarnej.
A jak jaskółki, co lepią na strzesze
Domeczki błotne dla dziatwy swej marnej,
Tak oni, w drogi swoje pilne, piesze,
Do ziemi mroźnej i do ziemi skwarnej,
Brali te garstki błota, by z nich gniazdo
Sercu ulepić pod obcą gdzieś gwiazdą.

I wyszedł anioł chat. Ten trzymał w dłoni
Bocianich sznurów zawiązki i końce,
A w drugiej ręce niósł gałąź jabłoni,
Nad którą pszczoły leciały brzęczące.

A był to anioł ten, co w żniwa broni
Chust uwiązanych w polu, a w nich śpiące
Dzieciątka wiatru powiewem kołysze
I niesie pieśni żniwiarek przez ciszę.

Lecz teraz jęki szły przed nim i płacze,
I niewiast głosy żałosne i dzieci,
Co jako kawki na polu tułacze
Lecą, a żadna nie wie, kędy leci.
Więc rzekł: »Minęły wieki, a nie baczę,
Kiedy zaś słońce tej nędzy zaświeci,
Która na ziemi jest, jak krwawa rana,
A w niewolniku nawet czuje pana«.

A gdy się zbliżył do onej mogiły
I ściągnął rękę, by zbawić to plemię,
Tłumy się niewiast ku światłu rzuciły,
Łkając i długim włosem kryjąc ziemię.
A inne wynijść nie miały już siły
I upadały, dźwigając swe brzemię,
Inne się wlokły ciężko — smętne mary —
Z trupy, z bydlęty zakute do pary.

A trzecią pieczęć zdjął z licem zakrytem
Anioł ciemnicy wszelkiej i otchłani.
I objawili się pod tym błękitem
Nędzarze, kaźni podziemnej oddani.
Z jękiem ci w niebo patrzyli i zgrzytem,
Jak ślepi, których blask słoneczny rani;
I tak ruszała czerń niema i głucha,
Brzękiem się tylko zwołując łańcucha.

A ten, co wiódł je, nie odkrył oblicza,
Lecz, jak pokutnik, szedł z schylonem czołem,
A co krok stąpił, to moc tajemnicza
Kładła się przed nim wielkiem, czarnem kołem.
A wiatr nad tłumem leciał, jak świst bicza,
A ludzie w tłumie cisnęli się społem,
A na ich grzbietach obnażonych były
Widnemi pręgi krwawe, jakby żyły.

A trzy pieczęcie zerwał duch płomieni,
Co wstrząsnął ziemią cichą nakształt gromu.
I wyszli z pod niej Łazarze złaknieni,
Co ni ogniska nie mają ni domu,

I nakształt nocnych rozeszli się cieni.
A jako iskra suchego więź łomu
Zajmuje ogniem, tak ziemia się cała
Od tych zmierzchników strasznych ciemną stała.

I ta to chwila jest ziemi przestrachu,
Jako rodzącej ostatnie momenta.
I grunt ruszony jest wszelkiego gmachu,
I całych wieków trzeszczą fundamenta,
I nie znalezion jest wróbel na dachu,
Coby bezpiecznym był o swe pisklęta,
Iż wszelkie miejsce i wieże wzniesione
Są podeptane dziś i uniżone.

Bo już dzień przyszedł pomsty — krzywdzonego
I otrząsania drzew z uschniętych liści,
Dzień przeraźliwy wołania — cichego,
Który z miłości wszedł do nienawiści.
Przyszedł dzień gniewu — długo cierpliwego,
W którym na sobie krew mają i czyści,
I ostre sierpy puszczone są w pole,
Co z czarnych siewów zrodziło niedolę.

I są puszczone sierpy przez winnice,
Aby zebrały grona za pogody.
I przejdą żeńce, jako nawałnice
I w kadzie gniewu wyrzucą jagody.
A zaś podepczą je wpośród ulice,
I wyjdą soki żywe jako wody,
A ci, co onej zasłyszeli wieści,
Języki własne żwali od boleści...

Aż nagle błysła światu głowa słońca.
Lecz dziś nie była to kula ognista,
Ani płomienna tarcza gorejąca,
Ale błękitna cała i przejrzysta,
I wkoło rąbkiem objęta miesiąca,
A na niej cicha i smętna twarz Chrysta,
Jakoby w jasnem srebrze wyrzeźbiona,
Ukazała się nad ziemią wzniesiona.

A ziemia taką obwiodła się ciszą,
Iż słychać było, jak duchy, stojące
Na czterech węgłach świata, lekko dyszą,
Związane mając u skrzydeł swych końce,

Ażby posnęły te, co się kołyszą
Na zgliszczach, brzozy smutne i płaczące,
I chaty w wioskach, a iżby też miały
Odpoczynienie swoje na czas mały.

A ptaki, które przez śródniebne drogi
Precz na dalekie leciały wyraje,
Do gniazd się swoich wracały z tej trwogi
I obsiadały gałązek okraje...
Bo głos nad niemi dał słyszeć się błogi:
»Wróćcie, a puśćcie pieśń nową przez gaje,
A zaś na ucztę zgromadźcie się bożą,
A niech się duchy maluczkich nie trwożą«.

A leśni krucy, którzy tam lecieli,
Pod ono srebne lice Chrystusowe,
Jak gołębiowie stawali się bieli
I głosy brali inne, słodkie, nowe...
A jako lilja, gdy śnieżnym wystrzeli
Kwiatem, tak nagle nad ruiny owe
Pokazały się na dzień i na słońce
Sztandary białe w powietrzu wiejące.

A wtedy Lucyl wstał, i podniósł lica
I ręce w niebo, a jasne miał skronie,
Bo się spełniła wielka obietnica,
Przed wieki dana w ludzkości zakonie...
Potem się rzucił jako błyskawica
I pierwsze z brzegu drzewce chwycił w dłonie,
I tak z chorągwią wzniesioną i białą
Zbiegł z tej mogiły, gdzie słowo się stało.

I nagle ludu ruszyły się tłumy,
Chwytając owe sztandary pokoju.
I bardzo wielkie podniosły się szumy,
Jako wiosennych wód, gdy huczą w zdroju.
A ziemia z onej się krwawej zadumy
We łzach budziła i z ciężkiego znoju,
I obracały się tak jej źrenice
Za owem słońcem, jako słonecznice.

I tak szły rzesze wielkie i narody,
Jak trawy polne idą i zbóż łany
Za tchnieniem wiatru, a jak idą trzody
Tam, gdzie spoczynek mają zgotowany.

A ponad niemi pieśń brzmiała swobody,
A step ten siny i stare kurhany
I czarne krzyże, przy drogach stojące,
Odziały blaski ciche i srebrzące.

PIEŚŃ XXI.

Tu koniec. Chociaż mógłby być początek,
Bo mój bohater w świat pędzi otwarty...
Ale mnie strofy te parzą, jak wrzątek,
Bo niema z czego kuć dzisiaj już Sparty
Ni Termopilów... Więc zrywam ten wątek
I precz odrzucam od siebie te karty,
Od których serce mam drżące i chore,
I ciskam pióro, co w ręku mi gore...

KONIEC.



500-
13/27/17 1894



